Świat Młodych

Nr 3 (9) Luty 1947
Cena 20 zł



PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

POLSKIE ZAKŁADY OPTYCZNE





Przed wojną produkcja Polskich Zakładów Optycznych nie była dostępna szaremu konsumentowi. Produkcja ta szła na potrzeby armii. Na użytek cywilny sprowadzano drogie artykuły z zagranicy.

Podczas działań wojennych Polskie Zakłady Optyczne zostały zburzone, a maszyny wywieziono.

Dziś na ulicy Grochowskiej w Warszawie stoi znowu piękny gmach Zakładów, odbudowany z inicjatywy i siłami dawnych pracowników. Tak kierownik działu sprzedaży, długoletni pracownik PZO, ob. Górski, jako jeden z pierwszych w roku 1945 brał udział w uruchomieniu produkcji, która po-



Szlifiernia szkieł okularowych



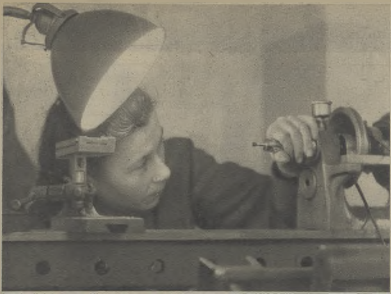
Wiercenie otworów (lampy dwuoczne)

czątkowo odbywała się w dawnym magazynie — w szopie. Produkcja PZO osiągnęła wtedy imponującą cyfrę 50 szkieł. Dzisiejsza produkcja przekracza już 5 tys. szkieł. Jednocześnie odbudowano nowoczesny gmach fabryczny i przygotowano go na przyjęcie rewindykowanych z Czechosłowacji maszyn i urządzeń fabrycznych. „Polski Majentek" — taki napis noszą maszyny, oddany został już do użytku. Reszta maszyn oczekuje na gruntowny remont.

Dziś PZO zatrudniają przeszło 300 pracowników, co stanowi 30 proc. obsady przedwojenej. Pracują w tej fabryce nie tylko starzy współpracownicy i fachowcy, ale również młodzi chłopcy, którzy uczą się precyzyjnej i uważnej obróbki materiału. Przewodniczący fabrycznego koła ZWM, kol. Janusz Grabowski poleruje soczewki do lup (tzw. podsprawdzian). Kończy on drugi rok nauki w PZO. Koło jego liczy 17 członków, składa się prawie wyłącznie z uczniów. Pracują oni w fabryce 6—7 godzin, uczęszczają poza tym do szkoły zawodowej. Zarabiają mało, ale nie zrażają się, wiedzą bowiem dobrze, że po skończeniu szkoły dostaną jako poszukiwani fachowcy świetne posady a pracą swoją przyczynią się do uzyskania pełnej suwerenności gospodarczej Państwa.

Praca ich jest trudna i odpowiedzialna. Nie można jej wykonywać na akord.

Dokładność obowiązuje na wszystkich stopniach produkcji. Każda wyprodukowana soczewka poddana zostaje mikroskopijnej kontroli.



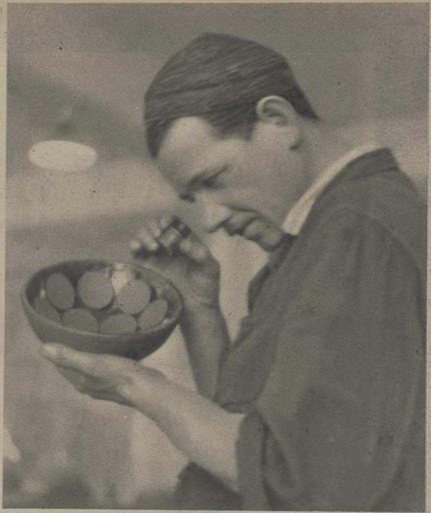
Centrowanie soczewek mikroskopijnych

PZO produkują obecnie szkła okularowe, lupy, mikroskopy, sprzęt optyczny lekarski, polarymetry, sprzęt goedezyjny itp. W przyszłości planuje się produkcję małoobrazkowych aparatów fotograficznych, których tak wielki głód odczuwa się na polskim rynku.

Polskie Zakłady Optyczne odbudowane zostały polskimi, robotniczymi rękoma. Służyć będą one nie zachciankom kapitału zagranicznego, lecz będą zaspakajać potrzeby społeczeństwa polskiego.

Jaraczewski Adam

FOTOGRAFIE AUTORA



Ob. Kędzierski Stefan sprawdza szlif soczewek okularowych



Kol. Kacperkiewicz Leonard (ZWM) podczas polerowania precyzyjnego



Wesoła trójka



Jeden z inicjatorów odbudowy zakładów ob. Górski



Straszliwie zmasakrowany Jan Stachowiak (otrzymał 8 ran na piersiach), ślady nakłuć scyzorykiem dokonanych przez morderców już w czasie agonii Janka



Ś. P.
JANEK STACHOWIAK

W imieniu młodzieży polskiej żegnamy zamordowanego bestialsko w dniu 22 stycznia 1947 r. Janka Stachowiaka, instruktora Z. W. M. w Poznaniu. — W imieniu młodzieży polskiej żegnamy jego pokłute nożem, poszarpane ciało i rozstrzaskaną lufą Colta głowę. Na poznańskim Cmentarzu Bohaterów mroźną ziemią zasypano trumnę, w trumnie ręce, które niosłyby sztandar, stopy, które szłyby w pierwszym szeregu, całe życie, które byłoby i nie jest.

Janek Stachowiak miał lat 20. Jego mordercy, ci, którzy wydali rozkaz zabójstwa, i ci, którzy rozkaz wykonali, byli jego rówieśnikami. Na ławie oskarżonych w auli Akademii Handlowej w Poznaniu, gdzie toczył się proces, zasiedli: Kosmowski Zbigniew, lat 20, Dybizbański Bogdan, lat 21, Kempiński Leszek, lat 21, Harkiewicz Marceli, lat 20 — uczniowie gimnazjum imienia Marii Magdaleny w Poznaniu i zarazem członkowie 15 drużyny harcerskiej Wielkopolskiej Chorągwi. Nie było dla nich wytłumaczenia ani łagodzących okoliczności. Podstępnie, ohydnie, popełnili zbrodnię, która wstrząsnęła sumieniem całego społeczeństwa.

Janek Stachowiak nie żyje. Zwabiony w ruiny kościoła Bernardyńskiego, padł z ręki swych rówieśników i kolegów. Miał lat 20. Uczył się, pracował, w szeregach ZWM i ORMO walczył o lepszą przyszłość narodu. Jego życie było Polsce potrzebne. Ale komu była potrzebna jego śmierć?

Po zwycięstwie wyborczym Bloku Demokratycznego przywódcy partii robotniczych zapowiedzieli amnestię, zapowiedzieli umożliwienie powrotu do normalnego życia wszystkim tym, których pierwszy powojenny okres sprowadził na bezdroże walki przeciw własnemu państwu. Była to równocześnie



Katafalk wystawiony w Zarządzie Miejskim Z. W. M. w Poznaniu — Wartę honorową trzymają ZWM-owcy członkowie O. R. M. O.

zapowiedź odprężenia panujących w kraju stosunków, zapowiedź ładu, bezpieczeństwa, porządku!

Nie o ład nie o porządek chodzi reakcji. Jakby w odpowiedzi na oświadczenie partii robotniczych przyszła poznańska zbrodnia. Młodzi chłopcy, uczniowie, harcerze, jeszcze raz stali się narzędziem w katowskich rękach prowodyrów podziemia. Ofiarą padł Janek Stachowiak.

Żegnamy go, młodego, bojownika o równość, sprawiedliwość i braterstwo, którego poranione ciało spoczęło na poznańskim Cmentarzu Bohaterów.

„Stwierdzamy: nie wystarczy umycie rąk. Nie wystarczy, iż samemu nie uczestniczy się w krętych poczynaniach. Komukolwiek drogi jest los Polski, los młodzieży polskiej i kształtowanie się charakteru narodowego Polaków — ten musi czynnie we wszelkich okolicznościach otwierać oczy tym, którzy jeszcze tego nie widzą, iż droga walki bratobójczej jest drogą hańby moralnej i nieszczęścia narodowego"

W imieniu młodzieży polskiej żegnamy Janka Stachowiaka. Mordercy wyszli z naszych szeregów, z pośród młodzieży. Spoczywa na nas odpowiedzialność za 81 kłutych ran, za roztrzaskaną rewolwerem czaszkę, za skrwawiony strzęp, który był człowiekiem, kolegą. Spoczywa na nas obowiązek odkupienia straszliwej zbrodni. Niech będzie nim „naprostowanie dróg tam, gdzie drogi życia młodzieży polskiej jeszcze są kręte".



Dybizbański · Kosmowski · Kempiński · Harkiewicz



Płk. Ignacy Narbutt

LUDZIE I WYDARZENIA

Eksy *)

Historia nie może zaprzeczyć, że pierwsze skoordynowane walki z okupantem w Polsce podjęła Gwardia Ludowa. Ekspropriacje, mające tak silną tradycję bojową w kraju, rozpoczęła Gwardia Ludowa sławnym najściem na bank KKO w Warszawie, gdzie w 1942 r. zabrano milionową kontrybucję, którą okupant nałożył na ludność stolicy.

A potem kolejno KKO w Kielcach i Skarżysku, mniejsze banki w Polsce. Ekspropriacje musieli robić ci, których nasi reakcjoniści z „Szańca" i „Biuletynu Informacyjnego" nazywali „płatnymi agentami Moskwy", a którzy, w przeciwieństwie do ZWZ, nie otrzymywali 90 milionów złotych w starej dobrej walucie polskiej, przerachowanej na walutę GG. Nasi bojowcy musieli własnymi rękami zdobywać pieniądze na walkę z Niemcami. Pierwsze pokwitowanie Gwardii Ludowej w KKO w Warszawie na milion złotych zaczynało się od słów: „Na cele walki z okupantem konfiskuje się złotych..." Formułę tę przyjęła później także AK.

W KKO w Kielcach „robiło" 5 chłopaków, którymi dowodził plutonowy podchor. „Lawina".

Kielecczanie powtarzali za bezradnymi gestapowcami, że ulica, na której mieściło się KKO, była otoczona stoma partyzantami. Pełna werwy grupa ekspriopriacyjna zostawiła pokwitowanie: „Gdy pieniędzy jest mało, przychodzimy do KKO", a potem owo uświęcone: „Na cele walki z okupantem". W Skarżysku, gdzie KKO mieściło się tuż przy posterunku żandarmerii, zoperowało bank siedmiu bojowców. Jednemu z nich po opuszczeniu gmachu i zetknięciu się z patrolem żandarmerii wysypało się z teczki parę tysięcy złotych. Był to młodociany bojowiec warszawski „Cenek" — Orłowski, późniejszy podoficer Oddziału Partyzantów Ziemi Kieleckiej. Chłopiec nie stracił orientacji. Najspokojniej zebrał zgubione pieniądze, a jakiś usłużny żandarm pomógł mu, zatrzymując dla siebie 500 złotych.

Rzecz prosta, że ekspriopriacje te były dokonywane za dnia, w okresie największego ruchu ulicznego.

W sierpniu 1943 r., o godz. 11-ej rano, grupa bojowców GL pod dowództwem porucznika „Wołodyjowskiego" zatrzymała przed dworcem kolejowym w zniemczonym Żyrardowie dorożkę, w której wieziono pieniądze Włókienniczych Zakładów Żyrardowskich, wtedy: „Hermann Goering-Manufakturwerke". W dorożce były walizy z pieniędzmi i obsada Werkschutzów.

Uprzejme: „Ręce do góry", szczęk broni, strzały. „Wołodyjowski" skacze do dorożki, za nim bojowcy — „Cichy", „Mały" i „Czajka". Dorożka, pełna krwi sączącej się z trupów zabitych Werkschutzów sunie ulicami miasta. W Alei Wolności dochodzi do walki z patrolem Wehrmachtu. Trafiony kulą, pada porucznik „Cichy".

Przykład naszych bojowców wpłynął niewątpliwie na późniejsze ekspriopriacje, dokonane przez żołnierzy AK. Technika bojowa ekspriopriacyj została jednak stworzona przez żołnierzy Gwardii, a później Armii Ludowej.

Na torach kolejowych

Organizacja nasza hartowała swe kadry na torach wroga. Cały naród rozumiał, że transport niemiecki, wylatujący w powietrze, skraca czas trwania znienawidzonej, okrutnej wojny.

Do połowy 1943 r., dowództwo ówczesnego PZP (Polski Związek Powstańczy), późniejsza AK, zabraniało dokonywania aktów sabotażowych na kolei, uważając, że to wyjdzie jedynie na korzyść Związkowi Radzieckiemu.

Oto konkretny przykład. W lutym 1942 r. trzej żołnierze oddziału Partyzantów Ziemi Kieleckiej; pod dowództwem sierżanta „Pistoleta", korzystając z wywiadu udzielonego przez miejscową placówkę AK, zajęli zwrotnicę kolejową pod stacją węzłową m. Zagnańsk i puścili ekspres Berlin — Warszawa na stojący na bocznym torze pociąg towarowy z częściami samolotowymi. Po tej katastrofie kolejowej kierownik miejscowej placówki PZP został przez swoje władze zwierzchnie zawieszony w czynnościach organizacyjnych pomimo, że był twórcą miejscowej organizacji jeszcze w okresie narodzin ZWZ.

Samoloty sprzymierzonej Wielkiej Brytanii zrzucały Polsce broń i materiały wybuchowe. Broń ta w olbrzymiej większości leżała bezczynnie, a znakomity materiał wybuchowy „plastic" rzadko był używany na torach wroga. Natomiast nasi bojowcy odczuwali brak materiałów pirotechnicznych i uderzali na arterie komunikacyjne wroga, używając najprymitywniejszych środków: rozkręcali tory, kładli na torach prymitywne wywrotki, używali odgrzebanych pozostałych jeszcze z walk 1939 r. pocisków artyleryjskich. Taką 75-ką został wykolejony w maju 1943 r. ekspres berliński między Skierniewicami a Żyrardowem.

Wróg nauczył nas walki, nieustępliwej i okrutnej walki na śmierć i życie. W walce tej wróg nie oszczędzał ani kobiet, ani dzieci, mordując bezbronną ludność miast i wsi. W kwietniu 1943 r. w górach Świętokrzyskich po okrutnej pacyfikacji, wróg spalił wieś, która popierała partyzantów.

Zbiry hitlerowskie, wpadłszy do chałup, miażdżyli kolbami kobiety i dzieci.

W tym samym czasie została spalona po raz drugi wieś Luta. Nie mogło to ujść wrogowi bezkarnie. W okolicy Radoszyc spaliliśmy za to wieś, zamieszkałą przez kolonistów niemieckich. Na trasie kolejowej Suchedniów — Skarżysko bojowcy zatrzymali pociąg osobowy, wyciągnęli wszystkich, którzy byli w wagonach „nur fuer Deutsche" i zostawili na trupach kartki z napisem: „Za Wzdół". Wróg zrozumiał, że żołnierz polski umie za gwałt płacić gwałtem i mimo, że nie podzielał zbrodniczej hitlerowskiej zasady odpowiedzialności zbiorowej, nie cofnie się przed niczym, aby pohamować bestię. Oficerowie oddziałów, które dokonały tych operacyj, porucznicy „Kaliski" i „Oset", padli w boju z wrogiem. Trzeci oficer, por. „Żbik" został zamordowany przez faszystowskich zbrodniarzy z NSZ.

Gwałt odciska się gwałtem

Swoją polityką terroru i rabunku okupant obrócił przeciwko sobie olbrzymią część społeczeństwa polskiego. Terror przybrał największe nasilenie w latach 1943-44.

W tym na pozór bezmyślnym terrorze przeciwko wszystkim kryła się dobrze przemyślana zasada wyniszczenia Polaków, jako narodu.

Wystarczyło, że ktoś znalazł się na ulicy podczas „łapanki", by trafił do Oświęcimia, Treblinki, czy Majdanka. Wystarczyło, że się jest Polakiem, by trafić na Pawiak w Warszawie, do Montelupich w Krakowie, czy na Zamek w Lublinie. Ostrze terroru godziło przede wszystkim w inteligencję i przodującą warstwę proletariatu. Okupant chciał pozostawić naród bez przywódców i kierowników. Po zabójstwie Kutschery Himmler na odprawie wyższych oficerów w Warszawie powiedział: „Polacy gorsi są od Czechów, Francuzów, Belgów, Holendrów, Serbów i Ukraińców. Jedyna moja rada, proszę pamiętać: umarli muszą milczeć".

Lecz żywi, bez względu na przynależność organizacyjną, milczeć nie chcieli i nie milczeli. Na terror okupanta odpowiedziano podobną metodą.

Stefan Jodłowski, włókniarz Żyrardowskich Zakładów Włókienniczych („Hermann Goering Manufakturwerke"), członek i organizator Polskiej Partii Robotniczej, porucznik Armii Ludowej sam wśród tłumu wychodzących z „Deutsches Haus" członków NSDAP, wyszukuje jednego z inspiratorów krwawej żyrardowskiej pacyfikacji, przywódcę hitlerowskiego, inżyniera Daxa i trzema strzałami powala go na ziemię.

Gdy wydano wyrok śmierci na Daxa, do wykonania wyroku zgłosiło się wielu ochotników. Porucznik Stefan tak motywował swoją prośbę o powierzenie mu wykonania wyroku: „Ja, obywatelu, nie będę przed Wami ukrywał — jestem partyjny. Wychowała mnie PPR. Dax, obywatelu dowódco, jest partyjnym hitlerowcem. Jako partyjny, mam większe prawo do partyjnego".



Rozbity czołg przez partyzantów

*) Z książki „Ludzie i wydarzenia", która ukaże się wkrótce nakładem Sp. Wyd. „Książka".

W tej motywacji kryła się niewątpliwie wielka prawda, którą robotnik Zakładów Żyrardowskich, Stefan Jodłowski, wyłożył prostym językiem. Z miesiąca na miesiąc stawało się jaśniejsze, że okupant stara się uderzyć przede wszystkim na awangardę bojowników, walczących z najazdem hitlerowskim, jaką była Polska Partia Robotnicza. Żołnierze tej organizacji, wchodzący w skład A. L., stworzyli typ nieustępliwego bojowca, nie znającego pardonu w walce z okupantem.

W lesie
Pomoc chłopa

Latem 1942 r. powstaje na Kielecczyźnie legendarny w Polsce oddział Partyzantów Ziemi Kieleckiej, nazywany przez lud „chłopcami z lasu". Nazwa tego oddziału i określenie partyzantów jako „chłopaków z lasu", roznosi się szeroko po całym kraju. Wbrew epitetom „Biuletynu Informacyjnego", który żołnierzy, walczących o wolność Ojczyzny, obrzucał stekiem obelg, naród kochał swoich żołnierzy, wspomagał ich w walce i chronił przed wywiadem wroga.

Przypominam sobie taki na przykład epizod. Jesienią 1943 roku, część oddziałów partyzanckich zaatakowała w Rudce, w górach Świętokrzyskich, drugą co do wielkości kopalnię pirytu w Europie. W taktyce walki moment zaskoczenia jest momentem zasadniczym, a brawura raczej sprawą szczęścia.

Wróg osłaniał kopalnię bronią maszynową, silną załogą żandarmerii i straży fabrycznej, tzw. „Werkschutzów". Pluton A. L-owców atakuje znienacka kopalnię, unieruchamia ją i ucieka w góry.

Padał wtedy pierwszy śnieg. Lepka wilgoć przejmowała do szpiku kości. Rozpoczyna się nieustanny pościg za oddziałem. Wreszcie, po dwutygodniowym pościgu wróg osacza mały oddziałek w Sielpi, w lasach Koneckich. Chłopcy biją się bez broni maszynowej, mając liche karabiny i słabe wyposażenie amunicyjne z 40-krotnie przeważającym, uzbrojonym od stóp do głów w broń maszynową, nieprzyjacielem. Po wyrwaniu się z pierścienia wroga nasi natrafiają na chłopa, który słysząc odgłosy walki wykopał spod stodoły dwa zaczepne granaty, przyniósł je i powiada: „Ha, ja jeszcze od Kubalców, macie chłopcy, a bijcie się dobrze".

Pamiętam też inną scenę, tym razem z równiny mazowieckiej. Oddział im. K. Pułaskiego, otoczony przez dwa i pół tysiąca Niemców, uzbrojonych w broń maszynową i artylerię przeciwpancerną, bił się w ciągu całego dnia w przerzedzonym lesie nad rzeką Rawką i wyrwawszy się z potrójnego pierścienia, toczył parogodzinną walkę w odkrytym terenie. Okoliczni chłopi, podpełzając pod pozycje, przynosili partyzantom mleko, wodę i owoce.

Wyszkolenie

Wiosna była wczesna i brudny śnieg rozpływał się pod obcasami. Wróg zaprzestał pościgu dopiero trzy dni temu pod Krasną, gdzie w potyczce straciliśmy trzech żołnierzy.

Oddział nasz wzrósł niewspółmiernie do siły naszego ognia. Przed zwycięstwem Armii Czerwonej pod Stalingradem, gdy tylko serca mężnych wytrzymywały te ciosy, które spadały raz po raz na wszystkie narody, było nas w oddziale dwunastu. Mieliśmy dwa dobre karabiny. Na dwunastu żołnierzy czterech było podoficerami. Przysłani zostali przez warszawską młodzież — Czesiek, Władek [1], Jurek [2] i Gustaw [3]. Najstarszy z nich, Czesiek miał lat 18 i był szewcem z zawodu, najmłodszy Gustaw miał lat 15 i był przed wojną uczniem korpusu kadetów we Lwowie. Teraz było nas blisko dwustu i mieliśmy tylko 3 erkaemy, z których jeden strzelał ogniem pojedyńczym.

W naszej szkole podoficerskiej wykładano o granatnikach, o cekaemach, moździerzach i pistoletach maszynowych. Instruktorzy musieli niekiedy rysować modele na papierze, gdyż nie było nawet modeli do nauki. Ile jednak zawziętości musieli mieć w sobie nasi chłopcy, którzy — ćwicząc się w mustrze formalnej i służbie polowej — marzyli o szkole podchorążych.

Zagadnienie wyszkolenia — to dla oddziału partyzanckiego zagadnienie specyficzne. Im oddział lepiej wyszkolony, im bardziej zdyscyplinowany, tym zwinniejszy jest w boju, tym szybciej może się oderwać od prześladującego wroga, tym sprawniej zadaje ciosy. My, ludzie Kielecczyzny, dobrze przemyśleliśmy, w czym tkwiły przyczyny kruchości operacyjnej majora Kubali.

Dowódca oświatowy oddziału, podchorąży Olek (A. Węgierko) był z zawodu reżyserem teatralnym i opowiadał mi na służbie o sztuce teatralnej, którą niegdyś reżyserował. Rzecz działa się podczas rewolucji we flocie czarnomorskiej. Najważniejszym zagadnieniem sztuki był problem dyscypliny i stosunku nowych dowódców do starych oficerów z carskiego korpusu zawodowego. Inna epoka w dziejach człowieczych — sprawy jednak podobne.

Jakże to dobrze, że śnieg wsiąka w ziemię i nie ma śladów! Ślady, to przecież najgorszy wróg partyzanta.

Przerwa w ćwiczeniach — harmonia długim akordem zabrzmiała piosenką: „Nie masz to jak partyzanty". A potem hymn oddziału, stara powstańcza pieśń: „Gdy naród do boju", pieśń, która stała się później hymnem A. L.

Ze sztuki, rozmowa przechodzi jak zwykle na wszy, a z wszy na podręcznik dowódcy plutonu. Podręcznik ten przysłało wreszcie Stowarzyszenie Opieki nad naszym oddziałem przez specjalną kurierkę z Warszawy. W naszym oddziale ramię przy ramieniu walczą socjaliści i ludowcy, „sikorszczacy" ze Skarżyska i peperowcy z Koneckiego. Mapy, które przysłał nasz sztab, odbite w jakiejś prymitywnej drukarni, są tak wyraźne, ze nie radzę nikomu, by się nimi posługiwał. Nasze Stowarzyszenie Opieki składa się z socjalistów, ludowców, demokratów i peperowców z nieocenioną Ireną [4]) na czele.

W skład Stowarzyszenia wchodziły m. in. p. p. Zofia Podkowińska i Regina Fleszarowa. Przysłano nam lekturę. M. in. „Demona leśnego batalionu" Robersa nie gorsza namiastka podręcznika dowódcy plutonu. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że stary nasz „obkuty" podręcznik dowódcy plutonu składał się w porównaniu z tą książką ze steku inteligenckich nonsensów, które w naszych warunkach wojska bez intendenckiego zaplecza, kiedy decydował tylko moment ruchu i zaskoczenia, miały jedynie zostosowanie w klasycznym operowaniu ogniem w plutonie.

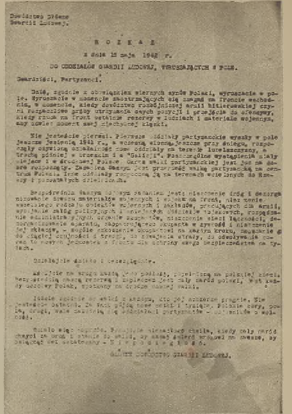
Wojna zbożowa

Gdy Gwardia Ludowa, w związku z kontyngentami, zaczęła niszczyć „Liegenschafty", zbiory i spisy gminne, gdy rekwirowała zbiory, rozdając je ludności polskiej, dowództwo AK sprzeciwiło się tej akcji i usiłowało ją zdyskredytować w oczach narodu. Gdy jednak „walka o chleb" stała się wśród ludności wiejskiej bardzo popularna, AK wystąpiła w końcu przeciw kontyngentom, nie rzucając jednak wszystkich swoich sił dywersyjnych do walki.

Gdy transport niszczyło się przez cały rok, to walka z kontyngentami rozpoczynała się tuz po żniwach. W różnych terenach rozmaicie postępowano. Był wśród nas oficer Polak z Francji, dąbrowszczak, który słysząc we Francji o naszej walce, zapisał się do organizacji Todta, został wysłany na front wschodni, w Warszawie „zniknął" z transportu i dostał się do partyzantki. Nazywaliśmy go „Francuzem" [5]), gdyż był rozmiłowany w narodzie francuskim i we francuskiej kuchni. Opowiadał o robocie bojowców francuskich, którzy najwyżej w trójkę, podjeżdżając do placu ćwiczeń SS gdzieś w odległej Nancy, rzucali wiązki granatów i szybko umykali na rowerach. Bardzo często zastanawialiśmy się nad tym, jak rozwiązać w terenie nizinnym i bezleśnym problem taktyki oddziałów partyzanckich, a więc taktyki zwinnego uderzania i szybkiego odrywania się od miejsca akcji.

Latem 1943 r. zjawił się na terenie powiatu grójeckiego jak meteor i szybko znikł, ginąc w walce z okupantem, partyzant z bożej łaski, dezerter którejś Infanterie-Division, obergefreiter o nazwisku nieznanym, którego ze względu na jego pochodzenie nazywano „Pepik". Był to Czech z Sudetów, który, walcząc gdzieś na Ukrainie, dowiedział się, że Niemcy, internowali w Dachau i stracili jego ojca za przynależność do partii socjaldemokratycznej. Uciekł z pułku, który przerzucono właśnie na Bałkany, zorganizował watahę i brał odwet na wrogu. Ów „Pepik" wsławił się tym, że był pierwszym w Polsce dowódcą oddziału partyzanckiego, który dał przykład, jak w terenie bezleśnym i nizinnym można szybko odrywać się od miejsca akcji na rowerze.

W 1943 r. Niemcy nie mogli w żyznej ziemi grójeckiej zebrać naznaczonych kontyngentów zbożowych. Była to niewątpliwie zasługa „Pepika" i jego oddziału.


Dowództwo Główne
Gwardii Ludowej.

R O Z K A Z

z dnia 15 maja 1942 r.

DO ODDZIAŁÓW GWARDII LUDOWEJ, WYRUSZAJĄCYCH W POLE.

Gwardziści, Partyzanci!

Dziś, zgodnie z obowiązkiem wiernych synów Polski, wyruszacie w pole. Wyruszacie w momencie zaostrzających się zmagań na froncie wschodnim, w momencie, kiedy dowództwo rozbójniczej armii hitlerowskiej czyni rozpaczliwe próby utrzymania swych pozycji i przejścia do ofensywy, kiedy rzuca na front ostatnie rezerwy w ludziach i materiale wojennym, aby odwlec moment swej nieuchronnej klęski.

Nie jesteście pierwsi. Pierwsze oddziały partyzanckie wyszły w pole jeszcze jesienią 1941 r., a wczesną wiosną, jeszcze przy śniegu, rozpoczęły ożywioną działalność nowe oddziały na terenie Lubelszczyzny, a trochę później w Krakowskim i w "Galicji". Poszczególne wystąpienia miały miejsce i w środkowej Polsce. Sprawa walki partyzanckiej jest już na dobre rozpoczęta. Zadaniem Waszym jest przenieść walkę partyzancką na centrum Polski. Inne oddziały rozpoczną ją na terenach wcielonych do Rzeszy i pozostałych dzielnicach.

Bezpośrednim Waszym bojowym zadaniem jest: niszczenie dróg i dezorganizowanie dowozu materiałów wojennych i wojska na front, niszczenie wszelkiego rodzaju obiektów wojennych i zakładów, pracujących dla armii, wybijanie załóg policyjnych i mniejszych oddziałów wojskowych, rozpędzanie administracyjnych organów okupantów, niszczenie sieci łączności, dezorganizowanie aparatu, zaopatrującego okupanta w żywność i niszczenie jej składów, - ogólnie szkodzenie okupantowi na każdym kroku, zmuszanie go do ciągłej czujności i trwogi, do ponoszenia straty, do odciągania [illegible] swych jednostek z frontu dla ochrony swego bezpieczeństwa na tyłach.

Działajcie śmiało i bezwzględnie.

[illegible] na wroga każdą jego podłość, [illegible] na polskiej ziemi. Bezpośrednią Waszą rezerwą i zapleczem jest cały naród polski, jest każdy uczciwy Polak, spotkany na drodze naszej walki.

[illegible] z każdym, kto jej szczerze pragnie. Nie jesteście sami. Za wami pójdą nowe setki i tysiące. Polskie góry, pola, drogi, wsie zaludnią się oddziałami partyzantów - bojowników o wolność.

Zbliża się [illegible]. [illegible] chwila, kiedy cały naród chwyci za broń i stanie do walki, [illegible] - Niepodległość.

GŁÓWNE DOWÓDZTWO GWARDII LUDOWEJ.



[1]) A. Folman, inż. architekt.

[2]) Ppr. J. Piwowarek.

[3]) Kpt. [illegible] z ZWM.

[4]) Irena Sawicka, członek KW PPR, poległa w powstaniu warszawskim.

[5]) Pseudonim „Francuz", „Cichy 1". zginął w 1943 w Rybienku pod Warszawą.

ze świata

W okresie, kiedy sytuacja międzynarodowa zaczęła się wyjaśniać, a prace nad najważniejszym traktatem pokojowym z Niemcami są w pełnym toku, możemy zwrócić uwagę na sprawy wstydliwe szeregu szanownych państw. W Anglii, gdzie jak wiadomo rządzi Socjalistyczna Partia Pracy, trwają bez przerwy strajki robotnicze, niezadowolonych z warunków pracy. Oto zdjęcia z wielkiego strajku transportowców w Londynie. Generalny sekretarz Związku Transportowego pan Arthur Deakin, opuszcza wiec, na którym na próżno namawiał robotników do złamania strajku. Obok w olbrzymich londyńskich magazynach mięsnych marnują się olbrzymie zapasy mięsa, podczas gdy jatki świecą pustkami.

Oburzają się również żołnierze, którzy nie chcą jechać na Daleki Wschód, aby poskramiać bunty w koloniach. Ostatnio w Lichtfield sądzono ośmiu kaprali, przywódców buntu, jaki wybuchł na statku, jadącym na Daleki Wschód. Żołnierze opuścili statek i kolumną pomaszerowali przez miasto. Zamknięto ich w obozie wojskowym. Proces trwa.









Na Bliskim Wschodzie toczy się rozgrywka o Egipt, który żąda ewakuacji wojsk brytyjskich ze swego terenu. Aby osłabić Egipt, Anglicy wysuwają projekt niepodległości Sudanu, gdzie rządzą wszechwładnie. Mają niestety sprzymierzeńców w Lidze Arabskiej. Umieją oni wygrywać niezgodę ludów kolonialnych. Na zdjęciu Azzam pasza z Ligi Arabskiej.



W Palestynie znajdują Anglicy coraz liczniejsze magazyny z bronią organizacji terrorystycznych.



Prawie cztery lata walczyli partyzanci greccy z faszyzmem niemieckim i włoskim. Obecnie walczyć muszą z faszyzmem — greckim. Ochotnicy ciągną do armii powstańczej.



Indochiny — Viet-Nam — walczą o swoją niepodległość. Armia powstańcza udaje się na pozycje,



na spotkanie Francuzów, obrońców całości Imperium francuskiego. To są ci sami żołnierze, którzy walczyli z Hitlerem.

FOTO-SAP



We Francji stworzony został demokratyczny rząd czwartej republiki. Monsieur Ramadier, premier Francji.



Prezydent Francji, mr. Auriol w towarzystwie Bluma, który był więźniem obozu koncentr.



W Ameryce, w bogatej i szczęśliwej Ameryce — strajki i bójki uliczne! Strajkują wyzyskiwani robotnicy portowi, strajkują nędznie płaceni statyści w Hollywood, na ulicach leżą wywrócone samochody, a policja działa.





Pracownicy Unii Zachodniej, olbrzymiego towarzystwa telegraficznego — strajkują, a pracownicy w Cleveland urządzają pogrzeb propozycjom swych pracodawców.

Sytuacja międzynarodowa przejaśnia się. Podnosi się także zrozumienie dla wartości człowieka. Pani Blanche Meiers ofiarowała swoje życie za dwóch młodych murzynów, skazanych na śmierć, a maj. gen. Lowell W. Rooks jest nowym dyrektorem generalnym UNRRA.





FOTO-SAP



Marjorie Kinnan Rawlings

Roczniak

Przekład autoryzowany Adama Galisa

(3)

Zbyt często może był Penny przedmiotem krzywdy. Spokój oddalonej puszczy obdarzał go dobrodziejstwem ciszy. Było w nim coś jak niezagojona rana. Dotknięcie ludzi sprawiało ból, ale dotyk sosen działał kojąco. Trudniej tu było zagospodarować się z powodu dużej odległości od miejsc, gdzie można było zakupić rzeczy potrzebne i sprzedać swoje zbiory. Ale obejście było jego wyłączną własnością. I dzikie zwierzęta zdawały się być mniej szkodliwe od ludzi, których znał. Złość niedźwiedzia, wilka czy pantery była zrozumiała, czego nie można było powiedzieć o ludzkim okrucieństwie.

Mając lat trzydzieści, ożenił się z hożą dziewczyną, dwa razy większą od niego, wsadził ją wraz z narzędziami gospodarskimi na wóz ciągniony przez wołu i pojechał na wyrąb gdzie własnoręcznie zbudował chałupę. Wybrał najlepsze miejsce, jakie się dało wybrać w ubogiej, piaszczystej, porosłej sosnami okolicy. Kupił od Forresterów, którzy mieszkali w sąsiedztwie o jakie cztery kilometry, wyżynną wyspę pośród sosnowego lasu. Miejsce to nazwane zostało wyspą w suchym borze, ponieważ było dosłownie wysepką wysoko dźwigniętych sosen o długich igłach, niejako kopcem w rozległym morzu gąszy. Inne jeszcze miejsca tego samego rodzaju, rozsiane były w stronie północnej i zachodniej, gdziekolwiek jakiś przypadek lub wilgotność gruntu wytworzyły takie wysepki porosłe bujną roślinnością. Rosły nawet szwary najbujniejsze ze wszystkich roślin. Tu i ówdzie rosły dęby, czerwony wawrzyn i magnolia, dzika wiśnia i eukaliptus, drzewo orzechowe i ostrokrzew.

Jedyną ujemną stroną tej okolicy był brak wody. Warstwa wody znajdowała się tak głęboko, że studnia była by czymś bezcennym. Zanim jednak cegła i wapno stanieją, musiała woda dla mieszkańców wyspy Baxterów przybywać z wielkiej rozpadliny na północnym skraju stuakrowego obszaru. Rozpadliny takie były powszechnym zjawiskiem w wapiennych okolicach Florydy. Płynęły przez te okolice podziemne źródła, które od czasu do czasu zmieniały się wyjątkowo w zwykłe rzeczki i rzeki. Niekiedy załamywała się cienka warstwa ziemi i ujawniał się wielki dół, w którym była woda bieżąca. Niestety, rozpadlina na terenie Baxterów nie zawierała takiego źródełka. Natomiast sączyła się tam dniem i nocą czysta woda i tworzyła rodzaj sadzawki, stawu, między wysokimi brzegami, na samym dnie rozpadliny. Forresterowie usiłowali sprzedać Baxterowi ubogą ziemię w samej puszczy, ale że miał gotówkę, obstawał przy tej wyspie.

Powiedział im tak:

— Puszcza jest odpowiednim miejscem dla zwierząt, lisów, panter, łosi, wężów. Ale nie mogę przecież moich młodych wychować na takim odludziu.

Forresterowie poklepali się po udach i ryknęli wielkim śmiechem. Lem Forrester wrzasnął.

— Ileż to półgrosików jest w groszu. Dobrze się stanie, jeśli będziesz ojcem lisiego pokolenia.

Penny słyszał go w tej chwili znów, choć tyle lat minęło. Odwrócił się ostrożnie, by nie obudzić żony. W samej rzeczy marzył o wielu synach i córkach, rojących się w bogatym obejściu pomiędzy sosnami. Przybyło rodziny. Ora Baxter była doskonale zbudowana dla rodzenia dzieci. Ale wyglądało tak, jak gdyby potomstwo miało się w rodzić w niego.

Dziatki były słabe i tak szybko jak przychodziły na świat, tak rychło, po chorobie, umierały. Penny pochował je, jedno przy drugim, na placu między dębami, gdzie licha ziemia ułatwiała kopanie. Kawałek gruntu rozszerzył się w dwójnasób od chwili, gdy go odgrodził dla ochrony przed niszczycielstwem świń i tchórzy. Dla wszystkich dziatek wyrzeźbił małe, drewniane pomniki. Widział je teraz sobie, proste i białe w świetle księżyca. Niektóre z nich miały imiona: Ezra młodszy, Mała Ora, Wilhelm T. Inne znów — napisy, jak: Baby Baxter, przeżył 3 miesiące i 6 dni. Na jednym pomniku Penny pracowicie wyciął scyzorykiem: „Nie widziała nigdy światła dnia". Cofał się myślą w przyszłość, rok za rokiem, jak człowiek dotykający w przejściu słupków w płocie.

A potem była przerwa w narodzinach. I kiedy już mu sprzykrzyło się to odludzie, a żona była niemal po wieku rodzenia, przyszedł na świat Jody i uchował się. Kiedy dwulatek umiał łazić, poszedł Penny na wojnę. Zabrał żonę i dziecko nad rzekę, do swej starej przyjaciółki, babci Hutto, na okres tych paru miesięcy, które miał być w polu. Wrócił po czterech latach, mocno sterany. Zabrał żonę i syna i wrócił z nimi do puszczy, błogosławiąc leśny spokój i odosobnienie.

Matka Jodyego przyjęła swego benjaminka z pewnym niedowierzaniem i niechęcią, jak gdyby wszystkie swe macierzyńskie uczucia oddała tamtym dzieciom. Ale Penny całą czułość przelał na syna. Dawał mu coś więcej ponad zwykłe ojcostwo. Widział jak dziecko stoi z szeroko rozwartymi oczami, bez tchu, przed cudem ptaka i zwierzęcia, przed cudem kwiatu i drzewa, wiatru i deszczu, słońca i księżyca, tak, jak on stał zawsze. I jeżeli któregoś dnia kwietniowego chłopiec poszedł sobie ze swymi dziecinnymi sprawami, to Penny mógł zrozumieć, co się w Jodym działo. Rozumiał również krótkość tego okresu.

Żona poruszyła się i jęknęła przez sen. W każdym wypadku podobnym do dzisiejszego chciał być osłoną dla chłopca przed szorstkością matki. Lelek wciąż latał po lesie i żalił się głosem złagodzonym przez wzrastającą odległość. Księżyc przepływał teraz przez sam środek okna sypialni.

— Pozwól mu brykać — pomyślał Penny — niech sobie biega. Pozwól mu budować wiatraki. Nadejdzie dzień, kiedy się nawet nie zatroszczy o nie.

ROZDZIAŁ III

Jody niechętnie otworzył oczy. Czasami — pomyślał — chciałbym przekraść się do lasu i spać od piątku do poniedziałku. Światło słoneczne wpadało do małej sypialni przez wschodnie okno. Nie był pewny, co go właściwie obudziło, blade światło, czy gdakanie kur w brzoskwiniach. Słyszał, jak zeskakiwały jedna za drugą z grzędy wśród gałązek. Słońce kładło pomarańczowe pasy na ziemi. Sosny w obrębie obejścia stały mroczne na tle blasku. W kwietniu słońce wschodziło wcześniej. Nie mogło być zbyt późno. Dobrze było przebudzić się samemu, zanim matka zawoła. Przewrócił się z boku na bok, przeciągając się rozkosznie. Zaszeleściły sucha trawy w materacu. Pod oknem hałaśliwie zapiał kogut.

— Teraz znów ty krzyczysz? — rzekł chłopiec — chcesz zobaczyć czy mnie wypędzisz z łóżka...

Jasne pasy na wschodzie rozszerzyły się i zgęstniały. Złoty przypływ wytoczył się na wysokość sosen i kiedy Jody przyglądał się tak, wreszcie słońce i zawisło jak wielki, miedziany rondel między gałęziami. Zaszumiał lekki wiaterek, jak gdyby rosnąca jasność wypchnęła go z niespokojnego wschodu. Luźno zwieszone firanki zawirowały i wtargnęły do pokoju. Wiatr dotarł do łóżka i otarł się o nie chłodną łagodnością czystego futra. Jody leżał przez chwilę w rozterce: co wybrać, wygodę łóżka czy nadchodzący dzień? Zerwał się wreszcie z gniazda i stanął na dywanie z jeleniej skóry. Spodnie wisiały tuż pod ręką, a koszula tuż obok z prawej strony. I już był ubrany i nie było już potrzeby snu, ani niczego innego prócz dnia i zapachu gorących bułeczek z kuchni.

— Hej, staruszko! — powiedział przy drzwiach — kocham cię mateńko!

— Ty i psy i cały inwentarz kochacie mnie ogromnie — odrzekła — kiedy jesteście głodni a ja stoję z talerzem w ręku.

— Bo wtedy najładniej wyglądasz — powiedział i roześmiał się.

Poszedł, pogwizdując do beczki i zanurzył drewniany ceber, by napełnić miednicę. Zamoczył dłonie i twarz w wodzie, postanawiając nie używać mydła. Zwilżył włosy, rozczesał i wygładził palcami. Zdjął ze ściany lusterko i przeglądał się chwilę.

— Ale ze mnie brzydal, mamo! — zawołał.

— Tak, ładnego Baxtera nie było od początku świata.

Skrzywił się do lusterka. Ruch ten spowodował, że piegi zlały się razem w wielką plamę.

— Chciałbym być tak śniady jak Forresterowie.

— Możesz być dumny, że nie jesteś taki. Żaden z nich nie jest takim chuchrem. Jak nie nauczysz się porządnie pracować, będziesz podobny do twojego ojca.

— Mówisz tak, jakbym nie był twoim dzieckiem.

— Moja rodzina jest też raczej jasna. Ale ludzie są czarni jak ich serca. Ty jesteś Baxter, a wszyscy Baxterowie są jaśni.

W lustrze odbijała się mała twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi. Twarz była blada i piegowata, ale zdrowa jak czysty piasek. Włosy sprawiały mu utrapienie, kiedy szedł do kościoła, albo po sprawunki do Volusii. Były bujne, o barwie słomy i nie bacząc na to, że ojciec przycinał je troskliwie raz na miesiąc, w niedzielę rano, przed najbliższą pełnią księżyca, opadały w lokach na plecy. Matka nazywała je „kacze pióra". Oczy miał niebieskie i duże. Kiedy się marszczył podczas czytania, albo gdy oglądał coś ciekawego, zwężały się i matka wtedy uważała go za swojego.

— Nie sprawia wstydu Alversom — rzekła.

Jody odwrócił lusterko, by obejrzeć uszy, nie dlatego, aby sprawdzić ich czystość, lecz na wspomnienie bólu, jakiego doznał owego dnia, kiedy Lem Forrester wziął go za podbródek ogromną łapą i szarpnął za uszy.

— Chłopcze, masz uszy jak opos — powiedział Lem.

Jody skrzywił się i odwiesił lusterko.

— Czy poczekamy na tatę ze śniadaniem? — zapytał.

— Oczywiście! Dać wszystko tobie, a na pewno byś nic nie zostawił.

Przy drzwiach zawahał się.

— A nie waż mi się znikać! Ojciec jest tam gdzieś, przy stodółce.

Od strony południowej z pomiędzy zarośli dobiegło szczekanie starej Julii, wyraźnie podnieconej. Zdawało mu się również, że słyszy ojca wydającego suce jakieś rozkazy. Zanim ostry głos matki zdołał go powstrzymać, puścił się pędem w tamtą stronę. Matka usłyszała również szczekanie. Zbliżyła się do drzwi i krzyknęła za Jodym:

— Nie łaźcie z ojcem długo za tym szalonym psem. Nie mam zamiaru sterczeć tutaj i czekać ze śniadaniem, kiedy wy tam będziecie sobie łazić po lesie!

Nie mógł już usłyszeć ojca ani Julii. Był wściekły, że sposobność go ominęła. Nieproszony gość poszedł sobie, a ojciec i pies poszli chyba za nim. Skoczył między zarośla w stronę skąd dobiegał hałas. Głos ojca rozległ się z bliska:

— Spokojnie synu. To co się stało, już się nie odstanie i czeka na ciebie.

Zatrzymał się. Stara Julia stała trzęsąc się nie ze strachu, ale z nadmiaru gorliwości. Ojciec spoglądał na ziemię, na zgniecione i poszarpane szczątki maciory, czarnej Betsy.

— Musiał usłyszeć, jak go wczoraj wzywałem — rzekł Penny — patrz uważnie, chłopcze. Czy widzisz to co ja?

Widok okaleczonej świni osłabił go. Ojciec patrzył poza martwą maciorę. Stara Julia zwróciła ostry nos w tę samą stronę. Jody wysunął się naprzód o kilka kroków i zbadał piasek. Niesamowite ślady zburzyły w nim krew. Były to ślady wielkiego niedźwiedzia. W odcisku prawej łapy, wielkiej jak denko kapelusza, brakło jednego palca.

— Stary Slewfoot

Penny kiwnął głową potakująco.

— Cieszę się, że zapamiętałeś ten ślad.

Pochylili się razem i rozpatrywali ślady i ich kierunek.

— Oto co nazywam przeniesieniem walki do obozu nieprzyjaciela — powiedział Penny.

— Żaden z psów nie zwietrzył go, tato. A ja tym bardziej nie słyszałem, bom spał.

— Psy nie są winne; wiatr mu sprzyjał. Cóż ty sobie myślisz, że on nie wiedział co robi? Wśliznął się jak cień, zrobił swoje i znikł przed rankiem.

Dreszcz przeszył chłopca. Wyobraził sobie wielki, czarny cień jakby się szopa ruszała, idący pomiędzy zaroślami, rwący potulną, śpiącą świnię jednym szarpnięciem wielkiej, pazurzastej łapy. A potem białe kły wpijające się w grzbiet świni, gruchoczące kości, wbierające się w ciepłe, pulsujące mięso. Betsy nie miała kiedy krzyknąć o pomoc.

— Czy chcesz odnieść starą Betsy?

— Strasznie jest poszarpana, ale myślę, że na kiełbasy zostało. No i słonina...

Jody wiedział, że powinien się martwić z powodu starej Betsy, ale jedyne co odczuwał w tej chwili, to podniecenie. Ta niespodziewana strzelanina, szmer w obrębie baxterowskiego obejścia uczynił z wielkiego niedźwiedzia, który od pięciu lat wymykał się wszystkim posiadaczom trzody, jego osobistego wroga. Płonął z ochoty rozpoczęcia polowania. Przyznawał się jednak przed sobą do odrobiny strachu. Stary Slewfoot był niesłychanie zuchwały

Chwycił świnię za zadnią nogę, a Penny wziął za drugą. Powlekli taszę do domu. Julia niechętnie wlokła się za nimi. Stary pies myśliwski nie mógł zrozumieć, dlaczego nie rozpoczynają z miejsca pogoni.

— Przysięgam — rzekł Penny — że boję się przynieść tą nowinę matce.

— Napewno będzie zła — przytwierdził Jody.

— Betsy była taką dobrą maciorą. Mój Boże, jakaż była fajna!

Mama Baxter czekała na nich przy bramie.

— Ja tu krzyczę i krzyczę — powitała ich — coście tak długo robili. O Boże kochany! Moja Betsy, moja świnia.

Wzniosła ręce ku niebu. Penny i Jody przeszli przez bramę i poszli za dom. Mama Baxter szła za nimi, jęcząc.

— Powiesimy mięso na krokwi, synu — rzekł Penny — psy tam nie dosięgną.

— Możecie mi powiedzieć — powiedziała Ma Baxter — jedyne co możecie uczynić, to powiedzieć jak umarła i została rozszarpana na kawały tu, pod moim nosem.

— To sprawka starego Slewfoota — rzekł Jody. — Ślady były wyraźne.

— A te psy spały sobie w najlepsze — zawołała.

Trójka psów ukazała się właśnie, wietrząc zdala zapach krwi. Rzuciła kij w ich stronę.

— Ach, wy niezdary. Do żarcia jesteście pierwsze. A wyręki z was żadnej!

— Jeszcze nie urodził się pies, któryby przechytrzył tego niedźwiedzia — mruknął Penny.

— Ale przynajmniej mogły zaszczekać!

Rzuciła w nie znów kawałkiem drzewa. Psy niechętnie odstąpiły.

Rodzina weszła do domu. Jody w roztargnieniu wszedł pierwszy do kuchni. Dręczył go zapach śniadania. Nie obeszło się bez uwagi matki:

— Wróć — krzyknęła — i umyj przynajmniej twoje brudne łapy!

Stanął obok ojca przy misce z wodą. Śniadanie było na stole. Mama Baxter usiadła, kiwając głową w wielkim zmartwieniu i nic nie jadła. Jody napełnił talerz. Na śniadanie były placki owsiane ze smalcem, ciepłe bułki i zsiadłe mleko.

— W każdym razie — powiedział — mamy na jakiś czas mięso do jedzenia.

Matka obruszyła się na niego:

— Teraz mięso a zimą figa!

— Poproszę Forresterów, żeby nam odstąpili świnię — rzekł Penny.

— Tak. I jeszcze być zobowiązanym tym szelmom. — Znów zaczęła biadolić — ach, ten przeklęty niedźwiedź! Jak ja bym go dostała w moje ręce!...

— Powiem mu to kiedy go spotkam — rzekł Penny łagodnie z zapchanymi ustami.

— Jody zachichotał.

— To pięknie, to bardzo pięknie — rzekła — kpić sobie ze mnie.

Jody pogłaskał jej tęgie ramię.

— Bo sobie tak wyobraziłem mamo, ciebie w walce ze starym Slewfootem.

— Ja stawiam na matkę — rzekł Penny.

— Tylko ja jedna w tym domu traktuję życie poważnie — westchnęła.

C. d. n.

NASZ WIEK XX

Rocznica wojny i skutki entuzjazmu

27 października w 5 rocznicę w Atenach profesor S[illegible] wygłosił przemówienie z okazji rocznicy najazdu faszystowskiego na Grecję. W chwili najbardziej wzruszającej sceny Aleksander C. Symos, którego ojciec został rozstrzelany przez Niemców, wzniósł okrzyk: Precz z faszyzmem. Niech żyje wolność!

Aby ostudzić jego zapał powalono go na ziemię i bito tak długo, aż zalał się krwią, następnie odprowadzono na posterunek policji, gdzie po krótkim przesłuchaniu dowiedział się, że sprawa zostanie oddana sądowi. Był bowiem pod ciężkim zarzutem wznoszenia okrzyków, które... mogłyby wywołać zamieszki i niepokój w narodzie.

Kuźnica, nr 3

Nadesł. W. Chotowska, W-wa

Wybory po amerykańsku

„Wzywam wszystkich Amerykan, którzy mają prawdziwą, czerwoną krew w żyłach i wierzą w wyższość i odrębność białej rasy, aby przypilnowali, by żaden nędzny murzyn nie głosował. Najlepiej uczynić to wieczorem poprzedzającego wybory... Obywatele Missisipi muszą uciec się do wszelkich środków, aby nie dopuścić murzynów do urn... Jeżeli nie wiecie jak to zrobić, to nie macie talentu przekonywania... Oferuję swoje usługi jako adwokat każdemu, kto wpadnie z tego powodu w tarapaty. Jestem diablo szczęśliwym adwokatem. W swoim życiu broniłem już jedenastu ludzi oskarżonych o morderstwo i wszystkich wyciągnąłem z kryminału. Jak mi się to udało, to już moja sprawa".

Senator Bilbao
cyt. Kuźnica, nr 4

Polacy i Murzyni

...Amerykanie pochodzenia polskiego mają między sobą też swoje porachunki. Pamiętają dokładnie, z jakiej dzielnicy Polski przywędrowali ich rodzice i jest to zwykle powodem do dumy. Przybysze z tzw. Kongresówki patrzą ze zrozumiałą wyższością na przybyszów z dawnej Galicji, a ci z równie zrozumiałą wyższością na przybyszów z Kongresówki.

Pewien Polak amerykański jechał samochodem przez wielkie, puste przestrzenie Middle-Westu i zatrzymał się przy stacji benzynowej. Przy pompie stała kobieta, która — jak się okazało — była z pochodzenia Polką. „Niech pan poczeka chwilę, zaraz przyjdzie mój mąż, to da panu gazoliny" — powiedziała kobieta. Jakoż wyszedł z domu mężczyzna, okazały Murzyn.

„Jak to, to pani wyszła za Murzyna?" — zapytał Polak, dotknięty tym mezaliansem.

„E, proszę pana, moja siostra to jeszcze gorzej wyszła za mąż".

„??"

„Za Galicjanina".

J. Nowak: Życie w U. S. A.
(Odrodzenie 1) nadesł.
W. Chotowska, W-wa.

Szkoły w Iranie

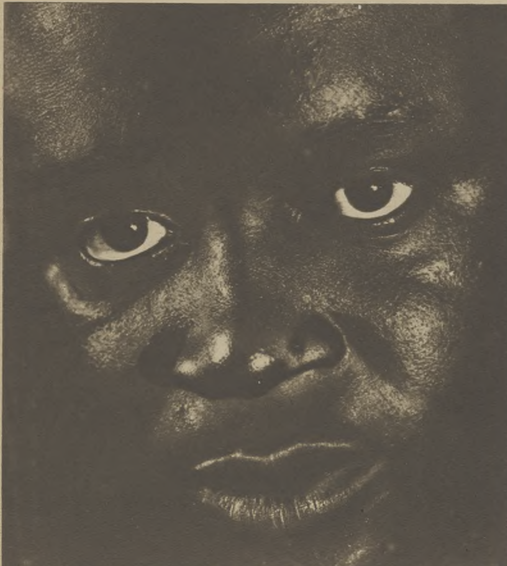
W kołach oficjalnych Londynu lubi się mówić o misji cywilizacyjnej, jaką Anglia ma na Bliskim Wschodzie. Cóż więc uczyniły władze brytyjskie dla podniesienia poziomu kulturalnego ludności Iraku? Interesujące dane opublikowała na ten temat niedawno gazeta bagdadzka Al-Bilad. Okazuje się, że od 1917 roku po dziś dzień początkowe wykształcenie w szkołach Iraku uzyskało 75 tys. mieszkańców. Jeżeli dodamy do tej liczby 25 tys. ludzi, którzy nauczyli się czytać przed 1917 rokiem, da to sumę stu tys. ludzi, to jest 2 proc. ogólnej liczby mieszkańców.

W Iraku — pisze Al-Bilad — rokrocznie rodzi się dwieście tysięcy dzieci. Sto tysięcy umiera. Z pozostałej połowy do szkół może trafić tylko pięć tys. Stąd przy obecnym tempie kształcenia w przeciągu najbliższych 50 lat w Iraku będzie 95 proc. analfabetów.

Nowoje wremia nr 24

Czytelnicy proszeni są o nadsyłanie krótkich, nie przekraczających 150 słów anegdot i informacji, ilustrujących kontrasty współczesnej kultury. Kulturalne naszego wieku zawsze z dokładnym podaniem źródła. Za każdą opublikowaną w tej rubryce anegdotę Redakcja wypłaci przesyłającemu się złotych. Listy prosimy adresować: „Świat Młodych", Warszawa, Dworkowa 3. „Nasz wiek XX".

CZARNI LUDZIE PRACUJĄ



NA BIAŁEGO CZŁOWIEKA

„Que historia esquisita" — co za dziwna historia — powiedział mi stary Portugalczyk Lopez w Lourenço Marques. Mleczno-seledynowa, jakby szronem okryta, mała sadzonka agawy, tak mała, że można ją ująć w dwa palce, staje się złotodajną, błogosławioną rośliną dla białych ludzi z kompanii[1] i przekleństwem Murzynów Bantu, którzy licznie zamieszkują okolice Mozambiku.

Kraj to bogaty, rozległy, trzy razy większy niż Polska. Urzędowo nazywa się Portugalską Afryką Wschodnią lub po prostu „Colonia de Moçambique" i urzędowo należy do Portugalii. Ale dla Portugalii minął już złoty wiek szesnasty, wiek Magellanów[2] i Cabralów[3], kiedy po wszystkich morzach płynęły wzdęte żagle Luzytanii[4], zdobywając coraz to nowe lądy i kraje dla władców w słonecznej Lizbonie. Papież w Tordesillas dzielił świat na dwie części, portugalską i hiszpańską, bo nie było innego podziału, bo dwie tylko były wówczas potęgi — ach, czasy, bohaterskie tamte czasy, godne pióra Camaoensa![5] Dziś Portugalia jest małym, zacofanym państewkiem, straciła większość dziedzictwa, resztki jej ogromnych niegdyś posiadłości chylą się do upadku. W samym Mozambiku jeszcze tylko Lourenço Marques stwarza pozory współczesnego portu, jeszcze zaglądają tu okręty z dalekiego świata, jeszcze kilkanaście tysięcy białych usiłuje żyć po europejsku. Reszta kraju tkwi w prymitywie, nie mogąc się dźwignąć ani rozwinąć — nikomu zresztą na tym nie zależy.

Założona przed kilkuset laty osada Mozambik, od której cała kolonia wzięła nazwę, jest dziś taka sama jak była w XVI wieku. Wąskie uliczki, wykładane kamieniami, domy o kutych drzwiach z kołatkami, zakratowane okna, gdzie często zamiast szyb jest blaszka miki — nic się tu od czterystu lat nie zmieniło, świat zapomniał o tym zapadłym kącie, gdzie dumna niegdyś Portugalia przeżywa ciągle sen o sławie.

Bujny i bogaty wiek szesnasty minął bezpowrotnie. Na miejsce Portugalii przyszła nowa potęga kolonialna, bezwzględna i podstępna ciemiężycielka ludów — Anglia.

Anglicy wysłali do Mozambiku ekspedycje i kompanie i uzyskali od Portugalii koncesję na eksploatację kraju. Anglicy umieją eksploatować, tego nikt im nie zaprzeczy. I eksploatują.

Mozambik ma zabójczy klimat. Mozambik ma bagna, malarię, śpiączkę i muchę tse-tse. Ale Mozambik ma również wielką ilość murzynów do pracy. A przede wszystkim — doskonałe warunki do plantacji i przeróbki sizalu.

Na południe od wielkiej rzeki Zambezi znajduje się największa na świecie plantacja agaw, których liście dostarczają cennych sizalowych włókien. [illegible] milionów sadzonek rośnie na ogromnych polach długimi, pojedyńczymi szeregami. Obsługuje je setki Murzynów. Praca nie jest lekka. Najpierw trzeba przez trzy lata doglądać rośliny, nim się przystąpi do pierwszego zbioru. Potem długim nożem odcinać twarde, kłujące liście, potem za pomocą spe-



Długimi, pojedyńczymi szeregami rosną młode agawy na plantacji

cjalnych maszyn oddzielać miazgę od włókna, wreszcie suszyć, bielić, czyścić i czesać, i na koniec pakować w bele i odstawiać na okręty do Lourenço Marques.

Tłumy czarnych robotników uwijają się na plantacji. Biały „massa"[6]) w korkowym hełmie z potężnym batem w ręku i czujnym krwiożerczym bull-terrierem u nogi pilnuje porządku. Murzyni zatrudnieni przy sizalu zarabiają mniej więcej jedną dziesiątą tego, co robotnik w Europie. Nie mają prawa zawierać umów z pracodawcą i pozbawieni są jakiejkolwiek możności bronienia swych krzywd. Wszelkie objawy niezadowolenia i buntu, próby jakiejś zbiorowej akcji czy strajku tłumione są w sposób bezwzględny. Do dziś wypuszcza się na niesfornych robotników gromadę specjalnie tresowanych psów, które kawałami wyszarpują czarne ciała nieszczęśliwych. Zachwalane demokratyczne metody angielskie mają tu żywe zastosowanie.

Kompania eksploatacyjna buduje drogi, kolejki, mosty, osusza bagna — wszystko dla złotodajnego sizalu. Byle więcej, byle prędzej! Zwierząt pociągowych ani jucznych w Mozambiku nie ma, ukąszenie żółto-burej muchy tsetse zabija najtęższego konia. Wszystkie transporty odbywają się na karkach Murzynów. Za śmiesznie niskim wynagrodzeniem noszą czarni cierpliwie ogromne toboły, paki lub białego massę w lektyce. Dziesiątkują ich choroby, niszczy twarda praca. Mimo to, Murzyni są pogodni, szybko zapominają doznanych krzywd, najmniejszy drobiazg umie ich pobudzić do żywej wesołości. Lubią śmiać się i śpiewać własne, na poczekaniu układane piosenki, jakby sama natura obdarzyła ich tym beztroskim usposobieniem, by wyrównać jakoś i wynagrodzić ich twardy los. Zdarzy się, że Murzyn za jakieś przewinienie otrzyma od swego białego pana potężny raz, a już po niedługim czasie podśpiewuje sobie wesoło własną melodię i własne słowa:

Ależ dziś massa był zagniewany
ho, ho,
kto by się spodziewał, że tak mocno uderzy,
jeszcze mnie teraz boli ucho,
ale mój przyjaciel dostał jeszcze mocniej,
ho, ho.

Będzie tak śpiewał do wieczora. Duże, naiwne dziecko afrykańskiej ziemi, do której biały człowiek przyniósł tylko bat i wyzysk.

---

[1]) Kompania — Company, towarzystwo handlowe. Kompanie spełniły i spełniają do dziś główną rolę w gospodarczym ucisku, który panuje w koloniach. Towarzystwo Indyjskie (Indian Company) opanowało w swoim czasie całe Indie.

[2]) Magellan — wł. Fernao Magalhaes (1480—1521), opłynął Ocean Indyjski, odkrył Filipiny. Zginął w walce na wyspie Cebu. Jego załoga dokończyła szczęśliwie pierwszej podróży naokoło świata.

[3]) Pedro Alvarez Cabral (1460—1526), odkrywca Brazylii (1500).

[4]) Luzytania — w starożytności prowincja rzymska (dzisiejsza Portugalia).

[5]) Camoens — Luiz de Camoes (1524—80), poeta portugalski, który unieśmiertelnił w epopei pt. Luizjady podróż Vasco da Gama do Indii.

[6]) Massa — określenie białego człowieka, używane przez Murzynów.





Ta młoda robotnica jest jeszcze wcieleniem zdrowia i dobrego humoru. Wkrótce zniszczy ją i postarzy ciężka, źle wynagradzana praca na plantacji.



Pomiędzy trzecim i czwartym rokiem po zasadzeniu odbywa się pierwszy zbiór liści.



Wyłuskane włókna rozkłada się na słońcu, by zbielały i wyschły. Przy korzystnych warunkach atmosferycznych trwa to tylko 12 godzin.



Wielu murzynów zapada na śpiączkę. To okropna plaga, której ofiarą padają nieraz całe wsie i osady. Nie zwalcza jej nikt, bo i poco? Murzynów jest tak dużo...

Chory na śpiączkę murzyn, zmienia się zupełnie. Traci swoją wrodzoną wesołość i żywość, ogarnia go senność, głęboka apatia, niechęć do życia. Już z tej niechęci i bezruchu nic go nie wyrwie, nawet głód... W odległości kilku kilometrów znajduje się misja. Tam dostałby jeść, ale poco? Nie chce mu się iść, nic mu się nie chce, choć głód dokucza. Trudno. Murzyn siada na progu swej lepianki, rękami podejmuje ciężką głowę i czeka na śmierć. Nie pójdzie już więcej do plantacji, biały massa nie będzie go już bił, psy — ach, te okrutne psy, nawet gdyby teraz tu biegły — on już nie będzie uciekał...

A gdy ostatni dech uleci z murzyna, pręgowate hieny i mrówki ogryzą jego ciało do kości. Wtedy będzie można zobaczyć, że jego szkielet jest taki sam jak szkielet każdego człowieka.

Na miejsce zmarłego murzyna przyjdą nowi murzyni. Przyjdą z głębi czarnego lądu, z nad Limpopo, z nad Sabi, aż hen z nad jeziora Nyassa. I znów na nagie plecy spadnie bat białego massa z kompanii.

Jerzy Śladkowski

FOTO SAP



Po 8-9 latach agawa wypuszcza długie proste łodygi i w krótce potem umiera.



Na końcu łodygi agawy macierzystej rosną zbite wiązki nowych, małych roślinek. Sadzi się je pojedynczo w ziemi. I znów długimi szeregami rośnie nowa plantacja...

Aleksander Maliszewski

Las Palmas - GRAN CANARIA

„W kwietniu śpi tylko leniwy sługa — w maju śpi nawet gospodarz — a w czerwcu śpi kto żyw" — powiada wyspiarskie (kanaryjskie) przysłowie.

Kiedy z mgły porannej, na trójkącie gór, zaczęły się rysować kontury ulic, a potem barwne plamy coraz zdecydowaniej formowały miasto — białe Las Palmas z czarnymi świątyniami — na spotkanie okrętu odbił od brzegu tłum łodzi, który otoczył nas wieńcem, zasypując energicznym staccato mowy hiszpańskiej.

Smukli, opaleni chłopcy skaczą do wody za rzuconą z okrętu monetą, by wyprysnąć za chwilę z morza z pieniądzem w zębach. To nasi starzy znajomi z Conrada, Stevensona, Londona, a u Ławreniewa w „Upadku republiki Itli" — dwaj bohaterzy tej książki zarabiają na życie w taki właśnie sposób. Pamiętacie? — wyrażają się bardzo krytycznie o „cudzoziemcach, „wyrzucających pieniądze do wody". Tutaj — u brzegów Gran Canarii — chłopak jak strzała wypryskuje w górę, pokazuje wyłowioną monetę i zamienia kilka słów z towa-



rzyszami. Bardzobym chciał rozumieć, co oni do siebie mówią.

Uwagę zaczyna abserwować inne widowisko: — podnosi się chór — wspaniały koncert kilkuset kanarków. Podpłynęły do okrętu łodzie z klatkami.

To było tak wspaniałe, że aż zacząłem powątpiewać w szczerość kanarków. Czegoż one tak się cieszą? — z przyjazdu nabywców?

Tymczasem pasażerowie okrętu rzeczywiście masowo kupują trzcinowe pałace z ruchliwymi, zielonymi, rozśpiewanymi ziarenkami.

Klatki na długich tykach wędrują z chybotliwych łodzi na pokład parowca.

I nagle ptaki przestały śpiewać. Prawdopodobnie z tęsknoty za sprzedawcami, którzy właśnie odjechali. Ani rozśmieszanie kanarków przy pomocy pstrykania palcami, ani pieszczotliwe „Macccinśśś" — nic nie skutkowało. Kupiony ptak milczał, jak cegła. Koncert mógłby się powtórzyć, ale tylko wtedy, gdybyśmy ptaki wypuścili na wolność, a do klatek zamknęli sprzedawców. Każdy z nich potrafi naśladować śpiew kanarka, gdy położy na język odpowiednio wydrążoną łupinę orzecha.

Las Palmas jest jasne i wesołe.

Do pogodnego oblicza miasta przyczynia się w dużym stopniu tzw. styl kanaryjski. Wszyst-



kie domy, najwyżej dwupiętrowe, utrzymane są w jasnożółtym i jasnozielonym kolorze. W każdym oknie ciemnozielone, lub czerwone żaluzje. Frontony domów upiększone polichromią. Bardzo często dekoracyjnym uzupełnieniem budynku jest kolumnada palm, układających wachlarze liści na płaskich dachach. Las Palmas jest przesiąknięte słońcem. Ulicami toczy się wehikuł z bajek Andersena — śmieszna dwukołowa dorożka z bardzo uroczystym baldachimem.

Uśmiechnijmy się do błyskającego między domami oceanu i wejdźmy w cień jedynej czarnej bryły — do katedry. Zbudowana została w piętnastym wieku. W roku 1781 zniszczył ją pożar... i odtąd zaczyna się anegdota.

Hiszpanie wprawdzie odbudowali katedrę, ale jej nie wykończyli, aby nie składać Watykanowi podatku, który się płaci od każdej w y k o ń c z o n e j świątyni.

Wnętrze katedry jest tak ciemne, że nawet Złocone drzwi — arcydzieło mistrza Benvenuta Celliniego — są jak zgaszone i pokryte grubą warstwą mroku.

Pochylamy się nad mapą Canarii: Las Palmas — Santa Brigida — Monte Atalaya — Telde — Las Palmas — Terror: — Arucas — Las Palmas.



Przewodnik — twarz łakomego ptaka. Portugalczyk. Języków obcych nauczył się w obozie podczas wojny. Zawód swój traktuje z zamiłowaniem i lekką ironią.

Droga plącze się wśród winnic i plantacji bananów — wreszcie wychyla ku zastygłym masom lawy wulkanicznej, porosłej tu i ówdzie kaktusami wielkości człowieka. W miejscach, gdzie musiano w lawie wyrąbywać drogę — widzimy w przekrojach pokłady lawy — stare, starsze, najstarsze — niepisana, skamieniała historia życia i śmierci na wyspie Gran Canaria.

W pobliżu Atalaya — wysoko ponad drogą — dziury, powyrywane w kamieniu, uszeregowane prawie symetrycznie wszerz i wzdłuż skały. Z daleka — złudzenie plastra miodu.

— Co to jest?

— Te dziury? Właśnie tam jedziemy. To wioska Atalaya. W tych jaskiniach mieszkają ludzie...

Po kilku minutach wspinaczki jesteśmy na miejscu. Ludzie jaskiniowi — kilkaset metrów od asfaltowej szosy, po której mkną samochody. Dlaczego tu mieszkają?... O kilka stajań w dole widać piękne małe domki, zbudowane z cementu i lawy, otoczone zielenią...

— Domki? Owszem, ładne, ale w jaskini wygodniej. Kamień podczas upału chłodzi, a podczas zimna szybko się ogrzewa. Tak mieszkali zresztą ich ojcowie, dziadowie, tak jest dobrze...

W okolicach Terroru spotkaliśmy pogrzeb dziewczynki. Biało pomalowaną trumienkę nieśli mali chłopcy. Za pogrzebem szło kilku mężczyzn. Ani jednej kobiety. Na wyspie jest zwyczaj, że matka nie idzie za pogrzebem dziecka, gdyż nie chce w kierunku cmentarza „wydeptywać drogi" dla innych członków swej rodziny. Udział kobiety w pogrzebie jest nietaktem w stosunku do rodziny zmarłego. Kobiety pozostają w domu żałoby, aby pocieszać matkę, czy wdowę...

Między palmami i drzewami mimozy tłukł się żałosny śpiew.

Deszcz pada tutaj raz, najwyżej dwa razy na rok. Dlatego właśnie zmokliśmy do „suchej nitki". Z nieba chlusnął wodospad z łoskotem, godnym Niagary. Trzeba było się schronić do przydrożnej „venty". Tu właśnie odciągnąłem na bok przewodnika i po kilku minutach wstępu, przystąpiłem do ataku.

— Niech mi pan powie, ale prawdę... Czy to na wyspie są kanarki? Bo przecież przejechaliśmy szmat drogi i nigdzie nie widziałem...

— Naturalnie, senor, bardzo dużo kanarków jest na wyspie...

Popił z kieliszka i roześmiał się.

— Dużo kanarków jest na wyspie... Dużo ich się tu sprzedaje. Sprowadzane są z daleka — o, z daleka... Przed wojną to nawet z Włoch i z Austrii... W Niemczech także kwitnął „przemysł" kanarkowy... O, tak, senor — ta wyspa nazywa się kanaryjską. Nie możemy jej wstydu robić...

Popatrzyliśmy na siebie ze zrozumieniem. Polubiłem łobuza.



Rysunki I. WITZA

NA SZÓSTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI EMILA ZEGADŁOWICZA

W tych dniach mija 6 lat od śmierci Emila Zegadłowicza, jednego z największych pisarzy w literaturze dwudziestolecia 1918—1939, a w każdym razie jednego z tych, których twórczość wywoływała w mieszczańskich środowiskach stosunkowo największe dyskusje.

Nie jest naszą rzeczą ani naszą intencją w tej chwili wydanie sądu o twórczości pisarza. — Tymbardziej, że większość ludzi czytających w Polsce ma jeszcze do dziś dnia w pamięci wspomnienia awantur, a często burz w szklance wody, związanych bezpośrednio z nazwiskiem Zegadłowicz.

Nawet gdybyśmy próbowali spojrzeć na spuściznę Zegadłowicza sub specie aeternitatis, nawet gdybyśmy byli zdolni wyobrazić sobie, jak ustosunkuje się do tego pisarza rzesza czytelnicza, a raczej rzesza krytyków w roku dajmy na to 2147 (Brantome, Rabelais) — to i tak — przy naszej mentalności — spojrzeć niełatwo...

Poeta, dramaturg, powieściopisarz, w ostatnich latach życia nie stroniący od spraw społecznych — Zegadłowicz był jednym z najpłodniejszych artystów na przestrzeni naszej drugiej niepodległości. Mimo to nie zajął na kartach współczesnych podręczników historii literatury należnego mu miejsca. Osądów tak różnorodnych i wielorakich, jak o twórczości Zegadłowicza, osądów tak sprzecznych i krańcowych, krytyka nasza nie zna.

I tak — w 1923 roku Zegadłowicz dostaje się za misterium balladowe p. t. „Noc św. Jana Ewangelisty" na indeks kościelny. W tym samym bodajże roku Broniewski pisze w „Wiadomościach Literackich" o proletariackiej poezji Zegadłowicza (sic!). W rok potem zachłystuje się Zegadłowiczem ultrakatolicki Karol Hubert Rostworowski. — W 1926 roku Boy nazywa Zegadłowicza „mateczką Kozłowską w portkach", co zresztą wcale nie przeszkadza tym dwóm koryfeuszom porozumieć się, aż samotnikowi beskidzkiemu wyrywają się słowa:

„Żyję pod szumnym lasem, a ty [w gwarnym mieście,
Tobie śpiewa ulica, mnie skrzypiąca [socha.
Pragnę, byś miłowanej rzekł kiedyś [niewieście,
Że w cieniu gór jest serce, które ciebie [kocha".

Lata 1926—1929 są latami szczytu sławy pisarza w środowisku mieszczańskim. Nie pomagają tu ostrzegawcze głosy, jak K. W. Zawodzińskiego „Geniusz czy potęga reklamy", Zegadłowicz z indeksu — (pamiętajmy, że było ich dwu na indeksie kościoła: Żeromski i on) — drukuje w księgarni św. Wojciecha.

— Ten okres jest zresztą okresem triumfów Zegadłowicza na scenach polskich, wystawiających „Betsabę", „Alcestę", „Nawiedzonych", „Lampkę Oliwną", „Głaz Graniczny".

W chwili kiedy nawet wrogowie — może dla świętego spokoju — przyznają Zegadłowiczowi coś niecoś z talentu, ten „świętoszkowaty", „katolicki" pisarz okazuje się nagle diabłem przybranym w komżę. Pisze paskudny (dla jednych), fenomenalny i odważny (dla innych) list pod adresem kościoła, list, którego bluźnierstwo posuwa się aż do



nazwania Polski „klechistanem". Siebie samego zaś autor podpisuje imieniem „Emilencja".

Tu następują w polskich czasopismach dwa czy trzy lata względnego spokoju. Zegadłowicza jakby niema. — Pisze w tym okresie swoje najdoskonalsze, niestety dotąd szerszemu ogółowi nieznane wiersze. Powstaje w tym okresie „Podkowa na progu" — wydana drukiem... aż we Florencji, ukazują się „Budziejowickie Łąki" po czesku (ich polski oryginał nie ujrzał nigdy światła dziennego), powstaje tom p. t. „Nad brzegami Zodiaku", powstają w końcu „Podsłuchy", o których belfrowie gimnazjalni będą kiedyś mówili sztubakom.

Spokojny to, skupiony, imponujący okres twórczości Zegadłowicza — te lata 1930—1934.

Lecz oto znowu lata 1934—1935 — afera „Zmór", książki, która przeszła przez sądy i wywołała mordobicia między zwolennikami i przeciwnikami, książki, która wzbudziła w polskich sferach czytelniczych niebywałą sensację.

Wiece protestacyjne, demonstracyjne posiedzenia rad miejskich, zebrania inteligencji i sodalicji mariańskich, potępienia oficjalne i konfiskaty.

Odpowiedzią — jedyną bodajże — w tym całym okresie mieszczańskich gwizdów i pomstowań na mieszczańskiego pisarza stają się słynne Zegadłowicza „Słowa bez przydziału", a potem już jako konsekwencja, obecność na Lwowskim Zjeździe Pracowników Kultury i wspaniały, jak zawsze przesadzony, „głos w dyskusji nad kwestią żydowską", toczącej się na łamach „Wiadomości Literackich". (Ten głos Zegadłowicza ma właśnie charakterystyczny tytuł: „Poza dyskusją").



Dom poety w Gorzeniu wg. obrazu Mrozińskiego

Następne dwa czy trzy lata, poprzedzające bezpośrednio wybuch wojny, to są lata „Motorów", o których nie można ani nie wolno mówić, ani myśleć, jeśli się nie ma pojęcia o życiu pisarza w latach 1940-i, a więc u schyłku życia tego wybitnego człowieka i artysty.

Ten właśnie schyłek życia był jasnym, niedwuznacznym, skonkretyzowanym już ukoronowaniem twórczości, jak o tym świadczą wypowiedzi, które tu i ówdzie z rękopisów pośmiertnych ukazują się teraz na łamach gazet i czasopism.

„Rząd Nowej Polski musi powstać na terenie Polski, nie śmie przychodzić od ludzi, którzy nie wiedzą o Polsce nic.

Nie mogą się rozstrzygać przyszłe losy Polski i jej drogi dziejowej na terenach emigracyjnych i na krajach stołów dyplomatycznych, własne swe interesy reprezentujących.

Rząd Polski musi powstać na terenie etnograficznie polskim.

Rząd rozumny i rozumiejący — nie ekskluzywny, nie mocarstwowy — lecz Rząd o poczuciu misji dziejowej, która wykłada się, jako zbliżenie ery stanów zjednoczonych Europy".

Oto garść wypowiedzi pisarza z jego ostatnich, przedśmiertnych miesięcy.

Nie znamy, niestety, twórczości Zegadłowicza z tych miesięcy, z całego zresztą okresu okupacji. Słyszy się niekiedy superlatywy na temat dramatu, jaki powstał w tym okresie, ale ani jedno z wydawnictw nie pomyślało o druku, ani jeden z teatrów nie pomyślał o wystawieniu.

Spuścizna pisarza zamknięta jest gdzieś — jedni mówią, że w Sosnowcu, inni że w Krakowie — w czyimś biurku. Tak samo nie zabiera głosu Ministerstwo Kultury i Sztuki, którego Zegadłowicz był kiedyś dyrektorem departamentu, jakkolwiek wiceministrem jest dziś właśnie znakomity przyjaciel awanturnika z Gorzenia Górnego...

Tak samo opuszczona i zapuszczona jest mogiła poety na cmentarzu w Małobądzu pod Sosnowcem. — Maluczko, a zrówna się, ten nieopatrzony żadną tabliczką pagórek, z ziemią.

Sic transit gloria mundi! Tym niemniej zarówno spuścizną, jak i mogiłą poety powinno się zająć Ministerstwo Kultury i Sztuki, jak również Związek Zawodowy Literatów Polskich.

Pogrzeb Zegadłowicza w Sosnowcu w lutym 1941 roku był zresztą jedyną masową demonstracją patriotyczną Polaków w Zagłębiu Dąbrowskim. — Przypomnieniem tej demonstracji tego śmiertelnego wezgłowia, które — strach pomyśleć! — w owych czasach przykryte było czerwonym sztandarem — należy zakończyć uczczenie 6-ej rocznicy śmierci Emila Zegadłowicza.

A. Piwowarczyk

UWAGA na Niemcy!

Krok za krokiem

Wysoki urzędnik brytyjskiej administracji wojskowej złożył wobec przedstawiciela niemieckiej agencji prasowej DPD oświadczenie, że z dn. 1 kwietnia zarząd przemysłu węglowego przekazany zostanie władzom niemieckim. Oficer brytyjski podkreślił zarazem, że 1 stycznia 1947 r. stanowi datę epokową w historii nowych Niemiec, w tym dniu bowiem nieomal wszystkie funkcje rządowe przeszły z rąk angielskich w niemieckie. Oficerowie kontroli brytyjskiej mają odtąd tylko głos doradczy. Dotyczy to także życia gospodarczego, które z wyjątkiem produkcji węgla, jest obecnie całkowicie w zarządzie władz niemieckich.

Brytyjska administracja okupacyjna zamierza powołać do życia inspektorat gospodarczy dla strefy brytyjskiej, który będzie miał za zadanie „pilnować, aby przemysł niemiecki nie przemienił się znowu w wojenny i żeby kapitał brytyjsko-amerykański, który zostaje inwestowany w gospodarkę niemiecką nie został roztrwoniony na niepotrzebny import".

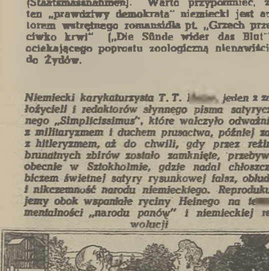
Tak więc krok za krokiem oddają Anglosasi etapami życie gospodarcze w całkowite władanie Niemców. Rzecz jasna, że różne „inspektoraty" będą miały — jak to już raz wykazała praktyka po klęsce Niemiec w r. 1918 — znaczenie raczej platoniczne i w ten sposób wykonywana kontrola stanie się zupełnie iluzoryczna, nie dotrze bowiem do zamaskowanych kuźnic niemieckiego przemysłu zbrojeniowego.

●

Prawdziwy demokrata...

B. Gauleiter Turyngii dr Artur Dinter, któremu Hitler osobiście wręczył legitymację partii narodowo-socjalistycznej z kolejnym numerem 5, przebywa obecnie na wolności w strefie francuskiej, gdzie podaje się za „ofiarę faszyzmu" i popisuje się w prasie jako „prawdziwy demokrata". Tolerancja władz okupacyjnych idzie tak daleko, że Dinter propaguje zupełnie otwarcie likwidację Żydów w Niemczech za pomocą zarządzeń państwowych (Staatsmassnahmen). Warto przypomnieć, że ten „prawdziwy demokrata" niemiecki jest autorem wstrętnego romansidła pt. „Grzech przeciwko krwi" („Die Sünde wider das Blut"), ociekającego poprostu zoologiczną nienawiścią do Żydów.

Niemiecki karykaturzysta T. T. [illegible], jeden z założycieli i redaktorów słynnego pisma satyrycznego „Simplicissimus", które walczyło odważnie z militaryzmem i duchem prusactwa, później zaś z hitleryzmem, aż do chwili, gdy przez reżim brunatnych zbirów zostało zamknięte, przebywa obecnie w Sztokholmie, gdzie nadal chłoszcze biczem świetnej satyry rysunkowej fałsz, obłudę i nikczemność narodu niemieckiego. Reprodukujemy obok wspaniałe ryciny Heinego na te[illegible]mentalności „narodu panów" i niemieckiej rewolucji



Mentalność „Herrenvolku"

„— W r. 1914 byłeś wierny cesarzowi, 1918 słuchałeś Noskego, 1933 byłeś hitlerowcem, a teraz chcesz być demokratą. I to nazywasz konsekwencją?".

„— Naturalnie. Zawsze trzymałem się zasady, że najsilniejszy ma rację".

Nie tylko wilkołaki ale i wilczki...

Grasują w Niemczech „wilkołaki" (Wehrwolf), podjąwszy tradycję chuligańskich organizacyj zbirów faszystowskiego podziemia, a następnie brunatnych hord hitlerowskich. Ale stoją oni poza prawem, są ścigani i tępieni przez władze okupacyjne.

Co jednak myśleć o tym, że całkiem legalnie, uznani oficjalnie, istnieją w zachodnich Niemczech przyodziane w owczą skórę harcerzyków „wilczki", których program i działalność w niczym nie odbiega od metod wychowawczych Hitlerjugend?

Wychodzące w Berlinie czasopismo dla młodzieży „Der Horizont" (Nr 28) podało notatkę, z której dowiadujemy się, że w okólniku skautów niemieckich „Germany Boy Scouts" z listopada 1946 zamieszczone zostały „przepisy wewnętrzne o działaniu przywódcy — odpowiedzialność i autorytet", z których najcharakterystyczniejszy cytat ma następujące brzmienie w dosłownym tłumaczeniu:

„Nam wszystkim imponuje siła, szczególnie w dzisiejszych bezsilnych i bezwolnych czasach... Kierownik grupy (Sippenführer) musi być wzorem dla wszystkich. Praktycznie oznacza to: Ty oczekujesz daremnie dyscypliny od twej grupy, jeżeli sam przed twoim przełożonym (Führer) nie zachowujesz stale zarówno zewnętrznie jak i wewnętrznie szacunku i postawy na baczność (Strammheit), jeżeli przed nim w jakikolwiek sposób zawiedziesz, jeżeli jego rozkazu nie wykonasz szybko i punktualnie. Każda grupa musi upodobnić się wcześniej czy później do swego Führera". Postawa na baczność przed führerem obowiązuje więc nadal wśród młodzieży niemieckiej, której pod opiekuńczymi skrzydłami anglosaskich aniołów stróżów imponuje szczególnie w dzisiejszych czasach tylko siła...

W tym samym piśmie czytamy, że „demokratyczne" harcerstwo niemieckie dzieli się na następujące jednostki organizacyjne: wilczki (Wölflinge), stado (Rudel), zastęp (Stamm) i szczep (Sippe). Na czele tych „Germany Boy Scouts" stoi Bundesfeldmeister (związkowy mistrz polny).

Tak oto stada wilków hitlerowskich mają zupełną swobodę działania w brytyjskiej i amerykańskiej strefie okupacyjnej i możność zaprawiania się w rzemiośle wojennym i wypróbowania swej siły fizycznej narazie w igrzyskach i zawodach sportowych z żołnierzami alianckimi. Bundesfeldmeister (jak to ładnie brzmi, prawie jak Reichsmarschall) zaś będzie już dbał o to, aby te stada węszących krew wilków poprowadzić szlakiem zemsty i odwetu za Führera...



Amerykański anioł stróż ze swymi wilczkami.



W Kolburgu, w amerykańskiej strefie okupacyjnej, b Constabulary Squadron, urządził zabawę dla niemieckich „wilczków", z pośród Germany Boy Scouts. Samochodami wojskowymi przewieziono młodzież niemiecką, żeby się, broń Boże, nie męczyła — na boisko, gdzie odbyły się różne igrzyska sportowe m. inn. zawody konne, zapasy i wreszcie na zakończenie mecz piłki nożnej drużyny „Wölflinge" contra G. I. (wym. Dżi — Aj. Tak nazywają potocznie Amerykanie swoich żołnierzy). Uczestnicy zabawy obdarowani zostali przez żołnierzy amerykańskich czekoladą i słodyczami z przydziałów wojskowych.

●

Za krytykę hitlerowca do łopaty

W Hanowerze wydarzył się incydent, rzucający jaskrawe światło na atmosferę moralną, panującą w zachodnich Niemczech.

Odbył się tam w tych dniach koncert, którym dyrygował b. intendent Opery Miejskiej w Hannowerze prof. Rudolf Krasselt. Następnego dnia na łamach „Hannoversche Presse" i „Hannoversche Neuste Nachrichten" ukazała się ostra, niemniej jednak rzeczowa krytyka dyrygenta, któremu przypomniano jednocześnie, że od r. 1933 był czynnym członkiem partii hitlerowskiej. W odpowiedzi miejski wydział kultury i nauki Hanoweru wydał ulotki, w których krytyka nazwano „niedowarzonym pętakiem" i podano zarazem do wiadomości, że prof. Krasselt na znak protestu w przyszłości nie da już żadnego koncertu w Hanowerze. Ciąg wszystkiego nastąpiło jednak w innej zupełnie formie: oto burmistrz miasta wydał nakaz powołania młodego recenzenta na okres tygodnia do służby pracy z łopatą i kilofem.

Bob-Dan



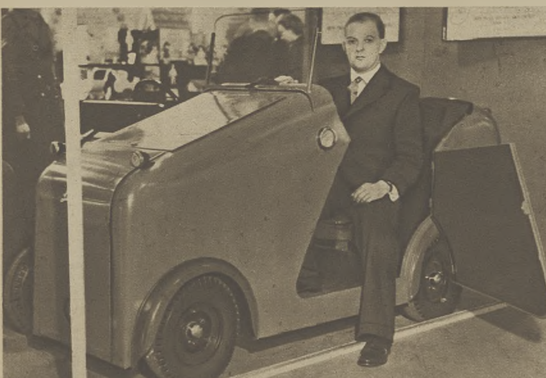
Niemiecka rewolucja

„Przepraszamy bardzo, chcielibyśmy chętnie zrobić rewolucję, więc może Pan będzie tak dobry powiedzieć nam, gdzie możemy otrzymać na to pozwolenie".

NOWOŚCI TECHNIKI



Nowy francuski samochodzik o trzech kołach, przeznaczony dla młodego małżeństwa, samochód daje się świetnie kierować, ale jest — trochę wywrotny...



Podobny samochodzik w wydaniu angielskim. Jednomiejscowy ale — czterokołowy. Oglądać go można na wystawie w Londynie. Przeznaczony jest pewnie dla rozwiedzionych.



Nowoczesny wagon amerykański, umożliwiający pasażerom oglądanie krajobrazu wygodnie i bez przeszkód.



Radzieckie ministerstwo żeglugi rzecznej zatwierdziło model palnika do cięcia metali pod wodą. Uzyskuje się to przez spalanie benzyny i wodoru. Sztabę metalową grubości dziesięciu milimetrów palnik przecina z szybkością 300-400 milimetrów na sekundę. Palnik należy zapalić na powietrzu, poczym natychmiast zanurzyć do wody.
FOTO-SIB



Podczas świąt Bożego Narodzenia odbyło się w Londynie około dwustu wykładów dla dzieci z dziedziny optyki. Oto mały londyńczyk ogląda teleskop niemiecki, umożliwiający patrzenie przez mgłę...



Wstrząśnięty tragedią „Tytanica", który zatonął przed pierwszą wojną światową na Atlantyku, mr. Gaskin całe życie poświęcił na prace nad modelem niezawodnej łodzi ratunkowej. Nowy jego model składa się z dwu połówek przyklejonych jakby dnami do siebie. W środku są zapasy wody i żywności dla 75 ludzi, radio i baki z powietrzem. W łodzi tej mr. Gaskin zamierza przebyć trasę długości 1500 mil. Narazie — model jego — pływa w wannie.
Foto-SAP



STRÓJ NARCIARSKI

Jesteśmy w pełni zimy. Biały, puszysty śnieg w górach kusi nieodparcie wszystkich miłośników i miłośniczki sportów zimowych: narty, saneczki, ślizgawka...

Pokus wiele — a i możliwości wyjazdu w góry także większe niż przed wojną. Przybyły piękne, nieznane nam dotąd tereny narciarskie na Dolnym Śląsku, powstała tak pożyteczna instytucja Domów Wypoczynkowych akademickich i pracowniczych, w których każdy może za niewielką opłatą spędzić urlop: w Szklarskiej Porębie, Karpaczu, Jeleniej Górze, Zakopanem, Krynicy. Młodzież ma zresztą swoje „magiczne" sposoby urządzania tanich wycieczek: obiad „na sucho" w plecaku, nocleg w turystycznym schronisku — i dalej w góry ku śnieżnym szczytom i słonecznym blaskom...

Pozostaje tylko kwestia, jak się ubrać? Młodzież męska ma z tymi sprawami zazwyczaj mniej kłopotu, dziewczęta jednak muszą dobrze się nagłowić, zanim skompletują odpowiednio garderobę.

Spodnie narciarskie — jeśli ich nie posiadamy, lub nie możemy na ten krótki okres pożyczyć (znam dwie studentki, które uszyły sobie wspólnym kosztem... jedną parę spodni; na szczęście miały podobne figury i wzrost, a na wycieczkę narciarską wybierały się każda w innym terminie) — uszyjemy z koca UNRRA. Jeżeli razi nas zielonkawy kolor koca — ufarbujemy go przedtem na ciemny brąz. Do ciemno brązowych spodni zastosujemy kurtkę lub bluzę w kolorze trawiasto-zielonym, brązowym, beige lub jasno-popielatym.

Przeszukajmy dobrze garderobę całej rodziny; może znajdzie się np. stara męska marynarka z wytartymi na łokciach rękawami i wyświeconym kołnierzem. Możemy ją przerobić na zgrabną kurtkę narciarską — kołnierzyk, klapy i rękawy damy z kawałków innego materiału w harmonizującym kolorze; do marynarki w kolorze piaskowym — rękawy i kołnierzyk brązowy, do granatowej ciemno-niebieskie lub wiśniowe. Widziałam też naprawdę ładną bluzę narciarską uszytą... z pluszowej ciemno-zielonej serwety na stół! Okazuje się więc, że pole do pomysłowości w tej dziedzinie jest niewyczerpane.

Zamiast kurtki — można też włożyć gruby sweter i uzupełnić go kamizelką bez rękawów uszytą z nieprzemakalnego płótna (by zabezpieczyć plecy przed wiatrem) lekko podwatolinowaną i zapiętą na przodzie na błyskawiczny zamek lub kamizelką z materiału podbitą królikami, skórką zajęczą czy innym płaskim futerkiem, jakie znajdziemy w domu.

Bardzo ładny i młodzieńczy komplet do sportów zimowych stanowi też krótka, układana w fałdy spódniczka nie sięgająca kolan — do niej gruby sweter — golf i rajtuzy (tak jak dziecinne) razem z pończochami stanowiące jedną całość. Sprawienie spódniczki nie jest stosunkowo kosztowne, a sweter i rajtuzy można wykonać z powodzeniem na drutach. Bardzo efektownie wygląda np. taki komplet z białej wełny z motywami norweskimi w żywych, jaskrawych kolorach (żółty, czerwony, szafirowy) — ten sam motyw zdobi sweter, pończochy, skarpetki, rękawiczki i czapeczkę — pilotkę. Spódniczkę uszyjemy do tego ciemno-szafirową, granatową lub popielatą. Ładnie też wygląda spódniczka szkocka w jaskrawą kratę — sweter i reszta wełnianego ekwipunku z wełny gładkiej już bez wzorów.

Peki







KOSMETYKA ZIMOWA

Jak zapobiegać odmrożeniom?

W okresie zimowym zagadnienie stosowania racjonalnej kosmetyki staje się szczególnie ważne. Okres mrozów sprzyja tak trudnym do leczenia odmrożeniom, a ostre wiatry niszczą skórę twarzy, która staje się opierzchnięta lub zsiniała.

Jakże brzydko wygląda wtedy szminka na zziębniętej twarzy, podobnej raczej do karnawałowej maski niż do twarzy normalnej, żywej kobiety...

W dzisiejszych powojennych warunkach jesteśmy na ogół mniej wytrzymali na zimno, organizmy wyczerpane i niedokrwiste (anemia) nie posiadają bowiem dość cieplika, by zachować odporność na działanie mrozu. Niewiadomo jak i kiedy zjawiają się pierwsze „sygnały" odmrożenia: zaczerwienienie skóry, swędzenie, opuchlizna; w ostrych wypadkach objawy są jeszcze przykrzejsze: bolesne kłucie, drobne ranki i owrzodzenia, które goją się z wielkim trudem i wymagają długotrwałego leczenia.

Odmrożenia najlepiej leczyć drogą naświetlań lampą kwarcową lub stosowania diatermii. Dużą ulgę przynoszą jednak także proste zabiegi domowe stosowane systematycznie i wytrwale.

A więc — odmrożone ręce lub nogi — należy moczyć na zmianę w b. gorącej (ile tylko da się wytrzymać) i w b. zimnej wodzie: zmieniać kąpiel z gorącej na zimną i odwrotnie mniej więcej co 10 minut. Świetnie robi także moczenie nóg w gotowanym odwarze z obierek kartofli.

Po kilkakrotnym takim zabiegu — wymasować stopy lub ręce olejkiem kamforowym lub maścią kamforową czy ichtiolową. Dobrze robi też zastosowany na noc kompres z octu (łyżka octu na szklankę wody) i spirytusu kamforowego. Kompres należy zmoczyć w roztworze octu z wodą, wyżąć i dobrze pokropić spirytusem, położyć na wierzch ceratkę, by kompres nie wysychał i szczelnie zabandażować.

Trudniejsze jest leczenie odmrożonej twarzy z natury bardziej wrażliwej niż palce rąk lub nogi. Zastosujemy tutaj lekki masaż całej twarzy maścią kamforową na lanolinie; czoło masujemy od środka w kierunku skroni, policzki — od brody ku skroniom w górę, miejsca pod oczami — od skroni w kierunku nosa.

Zamiast leczyć przykre skutki odmrożeń — lepiej jednak zapobiec im zawczasu. W okresie mrozów — a zwłaszcza w te dni, gdy mrozom towarzyszą ostre wiatry — zrezygnujmy lepiej ze zwykłych zabiegów piękności — z różów i szminek i przed wyjściem na ulicę nasmarujmy twarz tłustym kremem, lekko tylko pudrując nos. Pamiętajmy także, że nic tak nie sprzyja odmrożeniom jak ciasne buty lub zbyt obcisłe ubranie, — ubierajmy się więc w czasie mrozów tak, by swoboda ruchów była zapewniona. Al.







CZY JESTEM DOBRZE WYCHOWANA?

Czy umiem odpowiednio się zachować w domu, w towarzystwie, na ulicy?

Karolina Łubienska, znana aktorka teatrów warszawskich, podjęła się trudnej roli nauczycielki dobrych obyczajów. Obrała metodę negatywną: pokazuje, jak nie trzeba się zachowywać, jeżeli nie chce się popsuć humoru otoczenia i własnego wdzięku.

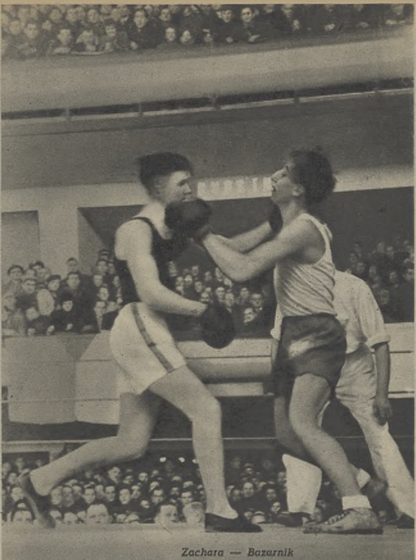


Foto PIKROPTE

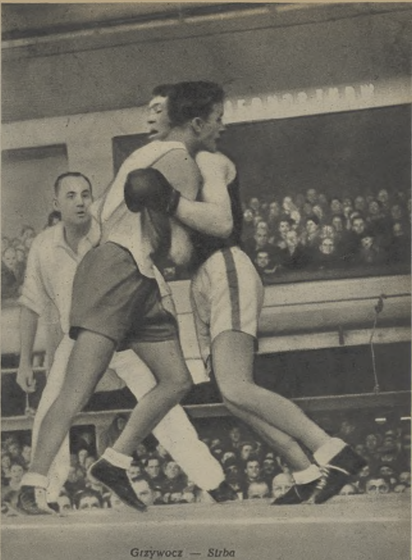






Zachara — Bazarnik



Grzywocz — Strba

POLSKA-CZECHOSŁOWACJA 12:4

Co mówi Szymura o meczu?

Znając różne oceny meczu Polska — Czechosłowacja z naszych pism codziennych, miast normalnego sprawozdania ograniczamy się do wypowiedzi naszego reprezentacyjnego boksera wagi półciężkiej Franciszka Szymury.

W czasie powrotnej jazdy do hotelu, gdzie przyjętym zwyczajem miał się odbyć bankiet na cześć gości, Szymura podzielił się ze mną swymi spostrzeżeniami z odbytych walk.

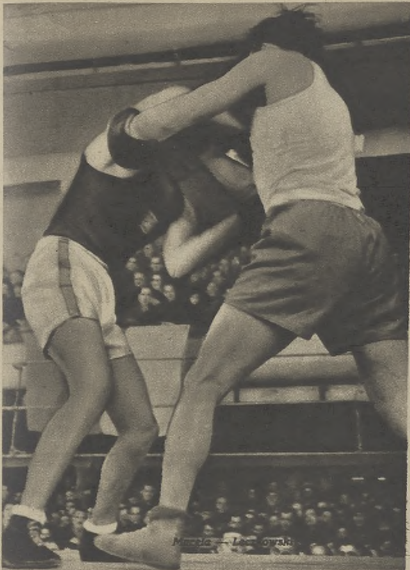
— Szkoda, — rozpoczął „popularny Franus" — że nie uznawano w tym meczu remisów. Ogólny wynik naszego spotkania z Czechosłowacją brzmiałby bezwzględnie korzystniej dla Czechów i napewno odzwierciadliłby faktyczny układ sił. Bo Czesi zostali pokrzywdzeni.

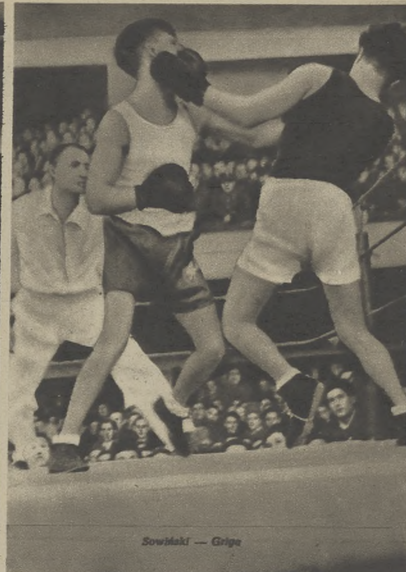
Do wygranej Bazarnika nie mam zastrzeżeń. W dniu tym Bazarnik dał ze siebie wszystko i walkę swoją wygrał. Niski cios reklamowany przez Zacharę, po zbadaniu przez lekarza okazał się zupełnie prawidłowym. Walkę swoją wygrał również zdaje się tylko dwoma punktami nasz mistrz słowiański Grzywocz. Według mego zdania w wadze piórkowej odpowiadałby więcej remis, gdyż walka była bardzo chaotyczna (w drugiej i trzeciej rundzie) i zawodnicy operowali niedozwolonymi ciosami. Wyraźnie nie we formie był dnia tego Sowiński. Griga to twardy bokser lecz nie bardzo się kryje i silny celny cios napewno zrobiłby na nim wrażenie. Ładną niespodziankę sprawił Olejnik, który zwierzył mi się jeszcze przed meczem, że nie bardzo się czuje na siłach. Znając przeciwnika Olejnika — Kondelę, poradziłem naszemu bokserowi rozpocząć z miejsca atak. Olejnik wywiązał się znakomicie, a trzy rundy przez niego stoczone, były najlepszymi starciami tego meczu. Najtwardszym orzechem do rozgryzienia jest niewątpliwie roztrzygnięcie walki pomiędzy Kolczyńskim a Tormą. Zawodnik czeski wart był tej reklamy jaką mu zrobiły nasze pisma jeszcze przed przybyciem do Polski. Torma jest bokserem bardzo szybkim i twardym, ma wielkie wyuczucie dystansu i przede wszystkim niezwykle mocne ciosy z obu rąk. Czy „Kolka" swoją walkę wygrał to problem. Raczej remis byłby odpowiednikiem przebiegu walki. W wadze ciężkiej Klimecki mimo wielkich zaległości w treningach i zaprawie, pokazał, że potrafi stawić jeszcze czoło i reprezentacyjnym bokserom. Pomimo, jak juz wspomniałem, braku odpowiedniej zaprawy, dysponuje on jeszcze bardzo silnym ciosem, który przy odpowiedniej szybkości może stać się niebezpiecznym. Jednak czy wygrał walkę? Raczej nie gdyż starcia były wyrównane.

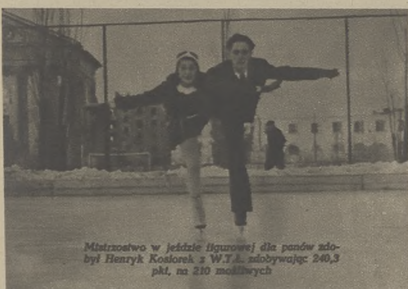
Bryz



FOTO-SAP


Mar[illegible] — Le[illegible]owski


Sowiński — Grige


Mistrzostwo w jeździe figurowej dla panów zdobył Henryk Kosiorek z W.T.Ł. zdobywając 240,3 pkt. na 210 możliwych


Wspaniały skok narciarski w St. Moritz podczas pierwszych zawodów po wojnie.

FOTO - SAP

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Kostrzewa Eugenjusz, Sosnowiec. — Nie zamieścimy. Wyjątek z powieści niesmaczny.

Nadolski Edmund, st. Sierżant W. P. — W nrze 1(7) istotnie popełniono błąd korektorski: szybkość samolotów przedwojennych wynosiła bowiem nie 75 km/godz. a 750 km/godz. Artykuł jest tłumaczeniem z „Illustration", której jeden numer był poświęcony wystawie lotniczej w Paryżu. Błąd był przykry, ale uwagi na temat szybkości samolotów przed wojną japońską i światową są wprawdzie cenne, lecz zbyteczne. Co do określenia samolotu de Hevillanda „Swallow" jako „gwiżdżącego bumeranga" — wyjaśniamy, że taka nazwa jest jego potoczną nazwą (ang. „the whistling bumerang") — podana zresztą również przez agencję fotograficzną Keystone'a, skąd zdjęcie pochodzi. Z artykułów zaopatrzonych w zdjęcia bądź też ze zdjęć skorzystamy, byle tylko teksty były utrzymane w nieco spokojniejszym tonie. Zainteresowanie młodzieży lotnictwem doceniamy, jednakże „Świat młodych" nie jest pismem lotniczym i nie może dawać zbyt dużo materiału z tej dziedziny. Za życzenia dziękujemy.

Barbara Molenlak. — Nie skorzystamy i radzimy Pani dużo się jeszcze uczyć, zwłaszcza gramatyki i ortografii. Zapał Pani i kilka lat uczciwej pracy dadzą napewno pomyślne wyniki.

„Bezet" ze Świdnicy. — Wiersze znajdzie Pan w pismach literackich: np. „Odrodzenie", „Twórczość".

St. Tur. — Nie skorzystamy.

J. Siarkowski. — Nie skorzystamy.

Jerzy Sosenko. — Pytania mało pomysłowe i o zbyt różnym poziomie. Nie skorzystamy.

Br. Wojciechowski. — Z wycinków nie skorzystamy. „Dowcipny malarz" — raczej wulgarny.

SPROSTOWANIE

W montażu numeru 2 (8) z miesiąca stycznia br. opuszczono nazwisko autora artykułu pt. „Styczniowe genealogie dzisiejszości". Autorem powyższego artykułu jest — Stanisław Ryszard Dobrowolski.

Wychodzi dwa razy w miesiącu

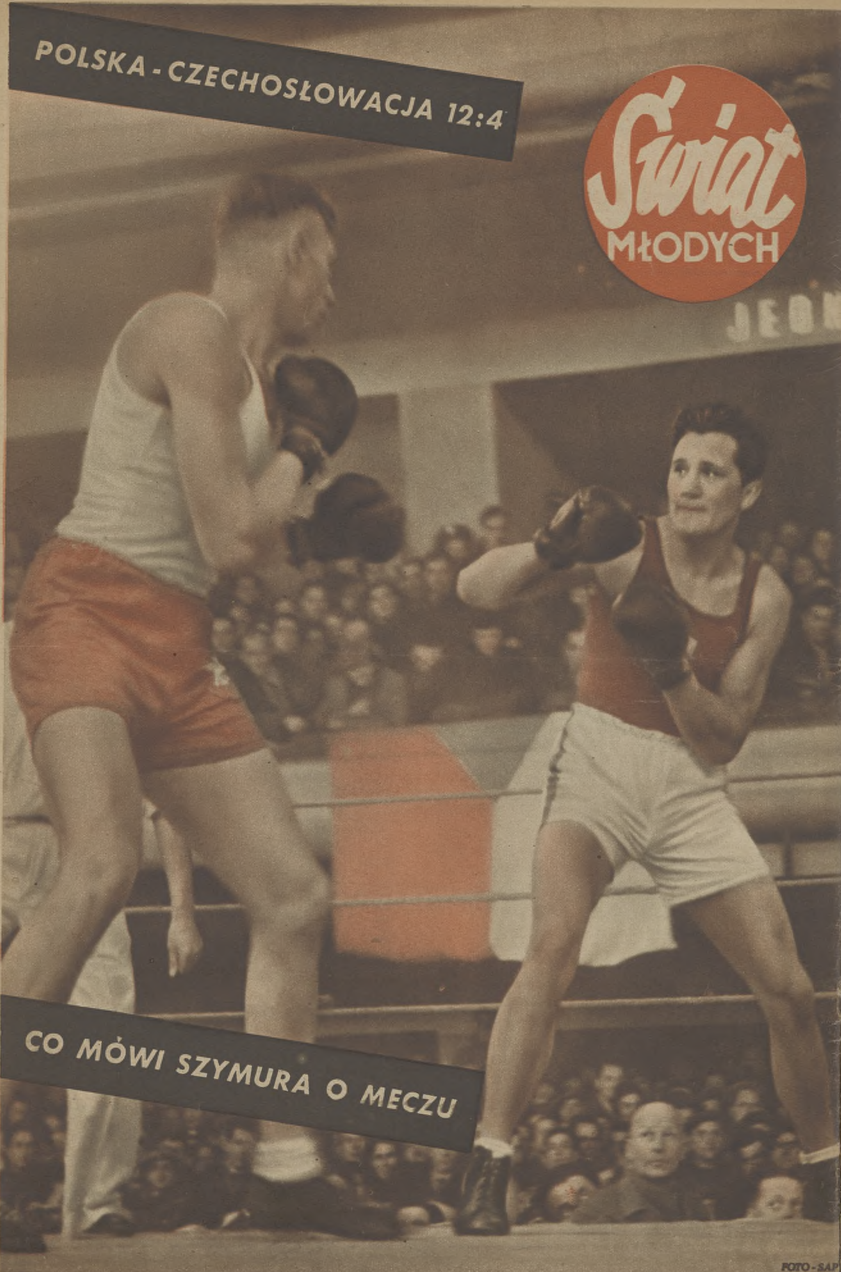
REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAWCA: SPÓŁDZ. WYD. „PŁOMIENIE"

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, DWORKOWA 3. TEL. [illegible]
EKSPEDYCJA: POZNAŃ, ARMII CZERWONEJ 1. — TELEFON [illegible]
PRENUMERATĘ WPŁACAĆ NA KONTO P K O NR I 42-52 W WARSZAWIE

Rotograwiura Drukarni św. Wojciecha pod Zarządem Państwowym w Poznaniu. 443 K-23793

POLSKA - CZECHOSŁOWACJA 12:4

Świat MŁODYCH



CO MÓWI SZYMURA O MECZU

FOTO - SAP